

Pożegnanie domu





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ZOFIA ŻURAKOWSKA

Pożegnanie domu

*Tam skarb mój,
gdzie serce moje*

*Moim towarzyszom niedoli,
dzieciom z Rusi,
którym wydarto Dom i Ziemię,
książkę tę poświęcam.*

tym co służą Ojczyźnie —

— A jeśli komu droga otwarta do nieba,

CZĘŚĆ I. POŻEGNANIE DOMU

ROZDZIAŁ I. MORZE CICHE

Dno morskie jest twarde i gofrowane.

Przy pierwszej kąpeli Ania twierdziła nawet, że jest za twarde i że ją nogi bolą. Powiedziała do panny Marii:

— Nie mas pojęcia, panno Mario, jak mnie te podeswy bolą!

Ale chłopcy ją wyśmieli.

— Ono pozornie tylko jest twarde — objaśnił Nik — ale poskrob palcem, a zobaczysz, jakie jest jedwabiste. Nie ma na świecie piasku bardziej jedwabistego niż na dnie morza.

Naturalnie więc Ania od razu uznała, że piasek na dnie morza jest bardziej jedwabisty niż gdzie indziej, bo Nik przecież zawsze wiedział, co mówił.

Pierwszy to raz w życiu Olek, Marta, Nik, Tom i Ania byli nad morzem. Zdawało się im dawniej, że doskonale znają morze z książek i z opowiadań ciotecznego rodzeństwa, Reni i Alego, którzy co roku spędzali parę miesięcy nad oceanem. Często nawet, w polu, patrząc na daleki siny rąbek lasu, Nik przymrużał oczy i mówił: „Tak właśnie musi wyglądać morze z daleka” — a w lecie, kiedy jezioro Niżpolskie wysychało trochę i robiła się plaża, bawili się w rybaków i połów śledzi.

Ale morze to było naprawdę zupełnie co innego. Kiedy po długiej i uciążliwej drodze, z Wołynia do Połagi¹, po raz pierwszy wyszli na plażę i spojrzeli w bezmiar fal świecących w słońcu, wieczyste ruchliwych, a tak czarująco wesołych, przez dłuższą chwilę nie byli w stanie przemówić. W końcu Nik powiedział:

— Wolałbym, żeby było spienione.

— Ba! Przecież to morze, nie ocean — rzekł Tom — i w dodatku wcale nie ma wiatru, więc skąd się ma pienie?

— Sam czytałeś w przewodniku, że w lipcu Bałtyk jest spokojny i gładki jak staw — dodał Olek — za to na wiosnę zobaczyłbyś dopiero!

— Na wiosnę, to nawet jezioro w Niżpolu się pieni — rzekł z pogardą Nik — gdy dorosnę, zostanę marynarzem i nieraz zobaczę burzę na pełnym morzu i na oceanie.

Ta przyszłość niedaleka ogromnie go pocieszyła i zaraz morze zaczęło mu się bardzo podobać. Można sobie wyobrazić, że się wcale nie kończy — myślał, patrząc przymrużonymi oczyma na drgającą powierzchnię wody. Nigdzie się nie kończy... nigdzie...

Do Połagi przyjechali tylko z matką i panną Marią, pan Charłęski nie mógł bowiem opuszczać Niżpola w lecie, w czasie zbiorów.

Zajęli białą willę nad samą plażą i rozpoczęło się życie najbardziej urocze, między niebem, piaskiem a wodą.

Wkrótce cała gromada, spalona na słońcu, wyglądała jak plemię afrykańskich Murzynów, a panna Maria twierdziła stanowczo, że nie będzie miała odwagi wieźć z powrotem, przez cały kraj, takiego zastępu dzikich ludożerców.

Dnie płynęły tak do siebie podobne jak fala do fali. Wszystko przestało istnieć, poza tą przepaloną słońcem Połagą. Niżpol rozplynał się w przestrzeni: ojciec, mieszkańcy Hołowina i wszyscy inni ludzie przestali istnieć. Zaledwie otwierało się nadeszłe listy, aby roztargnionym rzucić na nie okiem, a już gazet matka wcale nie brała do ręki.

Prawie co wieczór, przed zachodem słońca Olek z Nikiem szli na spacer, po plaży, w stronę granicy pruskiej. Panna Maria o tej porze kładła spać Anię i Toma, a matka siadała z Martą na stopniach balkonu willi i patrzyła w czerwono płonące fale.

Olek z Nikiem szli po mokrym, twardym piasku, hen, aż do miejsca, gdzie na granicy nieszkodliwie groźny żołnierz rosyjski przestrzegął ich, że dalej „nie lzia”².

Dnia tego szli i szli bez końca, tak zatopieni w rozmowie, iż nie widzieli nic wokół.

Nagle Nik odwrócił się, spojrzął i rzekł:

— A wartownika dzisiaj nie ma!

¹Poląga (lit. Palanga) — miasto na zachodzie Litwy, położone nad Morzem Bałtyckim, znany kurort nadmorski. [przypis edytorski]

²nie lzia (z ros.) — nie wolno. [przypis edytorski]

Olek aż oniemiał ze zdziwienia.

— A to dopiero! — wykrzyknął — gdzie się podział?

— Ładny żołnierz, nie ma co mówić!

— Moglibyśmy tak dojść aż do Memla³ — powiedział Nik z zadowoleniem.

— Ba! A granica pruska? Myślisz, że Prusacy tak samo jej pilnują jak Moskale⁴? Nie ma obawy. Lepiej wracajmy, bo nas jeszcze tu przyłapią.

Zawrócili tedy i szli, milcząc, w kierunku Połagi. Nikowi wydało się nagle bardzo głupie, że ludzie pokrajali sobie ziemię w kawałki, na tych granicach postawili straż i nie przepuszczają się wzajemnie bez jakichś specjalnych ceremonii, Bóg wie, po co to wszystko!

W połowie drogi wpadła na nich Marta, czerwona, z rozwianymi włosami. Z daleka już krzyczała coś, czego nie można było zrozumieć.

W końcu zrozumieli — mówiła, że jest wojna.

— Co, znowu za wojna! — rzekł niedowierzająco Olek.

— Wojna! — powiedziała zdyszana Marta — będą się wszyscy zabijać.

ROZDZIAŁ II. MORZE SPIENIONE

— Nie wiem doprawdy, dlaczego taki się poploch zrobił w tej głupiej Poładze — mówił Olek, siedząc na kupie piasku — wszyscy latają jak podsmoleni, a na plaży nie ma żywego ducha. Ogromne wrażenie robi ta wojna na wszystkich niankach i mamkach; zupełnie jak gdyby to ich niemowlęta miały iść na front! I nie rozumiem, dlaczego mama chce zaraz wracać do Niżpola?

— Jak to nie rozumiesz! — wykrzyknął Nik, który był podniecony bardziej jeszcze od owych mamek i nianiek — czyż nie widziałeś okrętów niemieckich płynących w stronę Libawy⁵? Jeśli ją zajmą, to którędy wrócimy do domu?

— Phi! Nie zajmą tak od razu — rzekł niedbale Olek, wierząc patykiem dziurę w piasku.

Właściwie Olek udawał obojętnego dla szyku. Wydawało mu się w bardzo dobrym tonie być zimnym i cynicznym, wśród tego tłumu wzruszonych i przerażonych kobiet i dzieci. W gruncie rzeczy sam był głęboko przejęty i ciągle obliczał w duchu, ile lat musiałaby trwać wojna, aby i on mógł w niej wziąć czynny udział.

— Mógłbym pójść do wojska mając lat... szesnaście... no, siedemnaście ostatecznie, a że mam czternaście, więc jeszcze dwa, trzy lata. Psia kość, najwyżej przecież będzie trwała pół roku — zakończył głośno, z goryczą.

— A ja mam nadzieję, że nas zaraz wezmą — powiedział Nik — jesteśmy przecież duzi i mocni. Ale wiesz, co ci powiem? nawet nie wiem, czy bym tego chciał... bić się w szeregach rosyjskich... Hm... Wiesz co? Uciekajmy do Francji.

Olek wcale się nie zdziwił tym, że Nik odpowiedział na to, o czym on myślał — przecież zawsze tak było. Natomiast rozgniewał się i nazwał go głupcem.

— Właśnie! Bardzo Francuzi potrzebują takich jak ty smarkaczy — (Nik miał dopiero dwanaście lat). — Na pewno bez nas nie dadzą sobie rady. Może nawet powierzą nam dowództwo armii...

Tom zaś naprawdę nie przejmował się niczym. Powiedział na samym początku, że: „to mnie nic nie obchodzi, bo to przecież nie polska wojna” — i dalej budował swoje zamki z piasku, na szczytach których zatykał biało-amarantowe flagi. Dotrzymywały mu placu Ania i Marta, choć ta ostatnia często zakłócała jego spokój westchnieniami pod adresem wojny. Mówiła na przykład:

— Mój Boże, czy też tu czasem nie przyjdą Niemcy! — albo — Co też papo sobie myśli o nas w Niżpolu? Pewno bardzo się niepokoi!

³Memel — Kłajpeda; miasto na wybrzeżu Morza Bałtyckiego, dziś w zach. części Litwy, w okresie przed I wojną światową wraz z Prusami miasto włączone było do zjednoczonych w l. 1866–1871 Niemiec (II Rzeszy). [przypis edytorski]

⁴Moskale (pot., pogard.) — Rosjanie. [przypis edytorski]

⁵Libawa — Lipawa miasto na Łotwie, w Kurlandii, nad Morzem Bałtyckim, po trzecim rozbiórce Polski i upadku księstwa Kurlandii przyłączona do Cesarstwa Rosyjskiego, stała się jednym z najważniejszych portów rosyjskich i węzłem komunikacyjnym (kolejowym); podczas I wojny światowej Lipawa była okupowana przez Niemcy. [przypis edytorski]

— Nie niepokoi się! — mówił chłodno Tom. — Przecież mama depeszowała. Gdzie wtykasz tę chorągiew? Przecież tam jest babka z piasku, a nie baszta!

Wszystko to razem nie trwało długo, bo już w tydzień po wypowiedzeniu wojny ruszono z powrotem do Niżpola.

Ten powrót zupełnie nie był podobny do przyjazdu. Z Libawy do Połagi było około stu kilometrów, którą to drogę, pierwszym razem, przebyto automobilem. Ale teraz, przy wyjeździe, nawet mowy nie mogło być o zdobyciu auta. Z trudem wielkim i za ogromną cenę udało się wynająć starą, rozklekotaną landarę, z wiadrem przywiązany między osiami i tobołkiem siana w koźle, i wózek, który Żyd właściciel nazywał ozdobnie bryczką na resorach. Około czterdziestu podobnych landar i wózków ruszyło o godzinie czwartej rano w kierunku Libawy.

Mimo tragizmu chwili i grozy okrętów, których zamglone kadłuby widniały na horyzoncie morza, pielgrzymka ta na oko przedstawiała się nader komicznie.

Jakaś potężna jejmość, tkwiąca na szczycie przeróżnych tobołków, wołała donośnym głosem, do osoby umieszczonej w głębi powozu: „Sto razy mówiłam Genowefie, żeby nie pakować maszynki do worka. Ja siedzę na maszynie. Czy przynajmniej Genowefa wylała spirytus?” — Zza budy landary doleciał jakiś słaby pomruk.

Jejmość krzyczała dalej: „Jeśli maszynka okaże się zgnieciona, to na czym Genowefa zagrzeje mleko dla Jacusia? Pytam się: na czym? Na czym? Co? Gdyby Genowefa zapakowała maszynkę do pudła, to nie siedziałabym teraz na maszynie!”

Jakiś pies oszalały z trwogi biegał od landary do landary, od wózka do wózka, wskakiwał paniom na kolana, obwąchiwał dzieci i z żalnym skomleniem pędził dalej, w poszukiwaniu swego pana.

Wkrótce zrobiło się już tak gorąco, że cały ten tłum, podniecony i ożywiony niezwykłością tej gromadnej wyprawy, przygasł nieco i ucichł. W głębi pojazdów chwiały się na sennych głowach zbakierowane kapelusze, dzieci pozasypiały na rękach spoconych nianiek, nawet konie drzemały, wlokąc się na zgiętych nogach. Stare, wychudłe konie, obojętne i zrezygnowane. Tylko Żydzi, furmani, nie tracili werwy i szwargotali bez ustanku, batami pokazując sobie w stronie Libawy coś, czego nikt nie mógł dojrzeć.

Olek i Nik, poczuwszy, że ich ogarnia senność, wyskoczyli z wózka i szli obok piaszczystą ścieżką, mimo że pot ściekał im z czoł. Chcieli jednak ćwiczyć się w wytrzymałości i sile w tej dobie wojennego zapału.

Tom popierał ich w tym postanowieniu, w nadziei dłuższego samotnego wypoczynku na wąskiej ławce bryczki. Tom nie lubił ścisku, szczególnie w czasie upału.

Trzy razy popasano⁶ w ciągu dnia tego. Za każdym razem Olek i Nik rozwijali cały zasób swej pomysłowości i sprytu. Nik szczególnie zyskał sobie ogólne uznanie sposobem, w jaki umiał błyskawicznie rozpalić ognisko, a Marta zachwycała kilka sentymentalnych pań swą umiejętnością pomagania pannie Marii. W ogóle cała piątka naszych dzieci, czysta, skrzętna i świeża, mimo upału, kurzu i ogólnego zamieszania, podobała się bardzo wszystkim wokoło i od razu zyskała przyjaciół. Ów pies, który zagubił swego pana, z wielkim zaufaniem pozostał przy ich ognisku, a pani, która siedziała na maszynie i nie miała wobec tego na czym zagrzać mleka dla Jacusia, raz po raz wołała grzmiącym głosem, wychylając się w kierunku pani Charłęskiej:

— To jedno drogiej pani powiem, że gdybym miała takie dzieci, nie dbałabym o resztę.

Matka uśmiechała się uprzejmie, ale Nik czytał z jej miny, że nie widzi powodu, dla którego miałyby nie dbać o resztę. Przecież „reszta” to był ojciec, Niżpol, Polska, ludzie...

Gdy słońce kładło się w morze, wyjechano znowu z lasu na plażę, już pod samą Libawą.

Wieczór zrobił się niespodziewanie chłodny i tak wietrzny, że morze, z nagłą uroczyste i groźne, wyrzucało na piasek brzegu białą pianę, a było koloru szmaragdowego.

Olek powiedział do Nika:

— Ot masz! Pieni się.

— Tak — rzekł Nik smutno — ale cóż z tego, skoro wyjeżdżamy.

⁶popasać — robić postój w podróży, szczególnie konno (na takim postoju konie dostają paszę). [przypis edytorski]

Ale w tej chwili obaj umilkli, bo zobaczyli nad Libawą brunatne kłęby wijących się dymów spalonego portu.

ROZDZIAŁ III. INACZEJ — NIE

Okazało się, że pani z Genowefą i Jacusiem jechała także w kierunku Żytomierza. Z wieczora zaklinała panią Charłęską na wszystkich świętych, ze świętym Gaudentym włącznie, ażeby trzymały się razem.

— Trzymajmy się razem, droga pani — mówiła tak głośno, że za granicą pruską było słyhać — trzymajmy się razem, to jedno drogiej pani powiem, będzie nam rażniej.

Ale pani Charłęskiej i tak było zupełnie rażno i wcale nie miała ochoty trzymać się razem z hałaśliwą jejmością, która szerzyła wokół siebie postrach i zamieszanie.

Na stacji w Libawie okazało się, że pociąg odchodzi dopiero nazajutrz rano, cała więc karawana rozpierchła się w poszukiwaniu noclegu.

Pani Charłęska z trudem wielkim zdobyła jeden pokój — w żydowskim hoteliku przy stacji. Pokój ów, z dziurawą podłogą i pozaciekanym sufitem, zawierał tylko jedno łóżko, ale Żyd gospodarz zapewnił panią Charłęską, że „panicze, uni sze mogą prześpić na kanapie, un jest bardzo porządny, ten kanap, na moje sumienie, w nim nima żaden owad!”.

Chłopcy spali tedy we trzech na jednej kanapie, a spali tak mocno, że nie przeszkodził im nawet liczny „owad”, który wbrew twierdzeniom Żydka zaznaczył swoją obecność w sposób dotkliwy i widoczny.

O szóstej rano już pani Charłęska z dziećmi była na stacji. Okazało się jednak, że trzeba było przyjechać jeszcze wcześniej, gdyż cały peron już zatłoczony był publicznością, kuframi, tobołami i żołnierstwem. A gdy pociąg podszedł, zrobiło się istne piekło — panie, czerwone i nieprzytomne, wywijają parasolkami w prawo i lewo, nianki używały łokci i kolan jak taranów, dzieci wrzeszczały, a strojni i wykwintni oficerowie rosyjscy, spokojnie, ale bezwzględnie usuwali wszystkich ze swojej drogi, dążąc do wagonów wojskowych.

Zdawało się przez chwilę, że absolutnym niepodobieństwem jest wsiąść do tego zdobywanego szturmem pociągu. Pani Charłęska usunęła się z dziećmi na stronę i czekała, pełna niepokoju, odpowiedniej do działania chwili.

Jakoż, gdy zgorzokowany tłum wdarł się do wnętrza wagonów, uspokoiło się znacznie i okazało, że nie jest aż tak beznadziejnie ciasno. Przy pomocy jakichś uprzejmych panów, pani Charłęska wsiadła z całą swoją gromadką, a nawet po pewnym czasie wyszperała miejsca siedzące dla Marty, Ani i panny Marii; chłopców zaś umieściła w korytarzu na kuferkach.

I pociąg ruszył.

Obok chłopców, oparci o futrynę okna stali dwaj młodzi oficerowie, tak strojni, jak gdyby wprost z parady wojskowej dostali się do tego natłoczonego pociągu. Jeden z nich, niższy, z oczyma czarnymi jak smoła, a błyszczącymi jak żuźle, mówił wciąż głosem podnieconym, gestykułując żywo. Co chwila wysuwał głowę przez okno i wołał coś do żołnierzy, którzy zapełniali setki towarowych wagonów, z wolna wyprzedzających pociąg. Mówił do towarzysza swego po francusku, a chłopcy słyszeli każde słowo — mówił o cudownej misji, jaką ma spełnić Rosja, stojąca na straży sprawiedliwości i równowagi świata. Cóż znaczy Francja, słaba, zniewieściła! Zepsuta do gruntu! Czymże jest Anglia do wojny nieprzygotowana, zawsze egoistyczna i samolubna! Biada światu cywilizowanemu, nad którym zawisła pięść Teutonów⁷! Ale oto na straży pokoju i sprawiedliwości stoi ona — Rosja! Spokojna, potężna, mądra! I ona to skruszy miecz pychy pruskiej!

Towarzysz młodego oficerka, smukły i wyniosły człowiek o pięknej twarzy i przymkniętych oczach, słuchając tych patetycznych słów, uśmiechał się jakoś niepokojąco. W końcu rzekł uprzejmie.

— Tak pięknie mówisz, poruczniku, że aż serce rośnie. Tak, tak, właśnie miecz pychy pruskiej! I ta Rosja święta, stojąca na straży sprawiedliwości!

W tej chwili oczy jego padły na twarz Nika, skurczoną złowrogo. Przypatrzył mu się uważnie, z zaciekawieniem, a usta jego uśmiechały się ciągle trochę drwiąco.

⁷Teutoni — tu przen.: Niemcy. [przypis edytorski]

Żołnierz, Polak, Rosjanin,
Polska, Rosja, Ojczyzna,
Poświęcenie, Wojna

Czarny oficer zwrócił się również w stronę chłopców i płonąc entuzjazmem, wykrzyknął:

— Jakąż podniosłą przeżywamy chwilę, nieprawdaż, młodzi przyjaciele? I wy pewnie chcielibyście wstąpić do wojska!

Nastąpiła chwila ciszy, po której Olek spokojnie i głośno powiedział:

— Nie.

— Aaa... — zdziwił się oficer, a twarz mu poczerwieniała. — Cóż za oryginalni chłopcy! A co? Może byście chcieli do marynarki albo aeroplanów? W Moskwie wszyscy chłopcy chcą do wojska, a wy nie? Czemuż tak?

— Bo tak! — powiedział Olek z pogardą. — My nie chcemy do rosyjskiego wojska.

— Ot jak! — zawołał z gniewem oficer. — A do jakiegoż, jeśli wolno wiedzieć?

Ale w tej chwili towarzysz jego położył mu rękę na ramieniu i rzekł stanowczo:

— Zostaw, Sierioża, wolno tym chłopcom mieć własne przekonania i tajemnice.

Nik przerwał mu szorstko:

— To nie są żadne tajemnice, wszyscy mogą to wiedzieć, że jesteśmy Polakami i tylko za Polskę oddamy życie chętnie. Inaczej nie.

Oczy pięknego oficera podniosły się znowuż na Nika, uważne, mądre, bezbrzeżnie smutne.

— Inaczej nie — powtórzył z wolna. — To szczęśliwszy jesteś ode mnie, mój młody przyjacielu, bo ja, widzisz, nawet za ojczyznę... niechętnie, bardzo niechętnie...

Uśmiechnął się do Nika pełnym pokory i smutku uśmiechem, jak gdyby go chciał przeprosić za to, co powiedział i odszedł, skacząc przez kufarki i ciągnąc za ramię czupurnego towarzysza, który koniecznie chciał jeszcze coś powiedzieć i wrywał mu się niezgrabnie.

ROZDZIAŁ IV. MUZYKA WOJSKOWA

Z rozkoszą niewymowną myły się dzieci i kładły do czystych łóżek, w ogromnych, jasno oświetlonych pokojach hotelu Wilna. Co za przyjemność pluskać się w ciepłej wodzie, nakładać czystą bieliznę i wyciągnąć zmitrężone ciało w świeżym, pachnącym łóżku, po dwu dobach jazdy w kurzu, upale i nieprawdopodobnym tłoku.

W chwili kiedy matka pochylała się nad Tomem, by go ucałować na dobranoc, zastukano do drzwi i służący podał jej depezę.

Pani Charłeska rozerwała opaskę i przeczytała głośno.

„Przyjeżdżam po was do Wilna — Dymitr”.

Aż poczerwieniała z radości, czytając te słowa, i zaraz zawołała do śpiącej w drugim pokoju Marty:

— Martuś, wuj Miś przyjeżdża po nas.

— Co za radość! — pisała Marta spod kołdry i tylko wielkiemu zmęczeniu należy przypisać, że cała gromada nie odtńczyła na poczekaniu z dawna usświęconego tradycją tańca radości i triumfu.

Oprócz wuja Ryszarda Oleśnickiego z Hołowina i wuja Feliksa, ojca Marietki, który utopił się przed laty, ratując z rzeki swego furmana, matka miała jeszcze jednego brata — był nim wuj Dymitr.

Dzieci widywały go rzadko, bo prawie zawsze podróżował, niemniej kochały go więcej niż wszystkich innych wujów i ciotki razem wziętych, bo był to najbardziej czarujący wuj na świecie. Zupełnie jeszcze młody, miał lat 26. Żył z chłopcami jak ich rówieśnik, zawsze gotów do żartów i figlów, pełen nieoczekiwanych pomysłów i wybornych kawałów.

Gdy wuj Miś był w Niżpolu, dziwnie się wszystko w domu udawało. Nie było wtenczas ponurych dni, ciemnych pokoi, pustych kątów, ani nieprzyjemnych zdarzeń. Wesołość ogarniała wszystkich. Od ojca aż do ostatniego kuchcika — każdy musiał być wesoły, bo wuj Miś robił z domownikami, co mu się podobało, a podobały mu się tylko przyjemne rzeczy. Nikt na świecie nie miał tak przecudnych oczu zielonych, pod rzęsami tak czarnymi. Nikt na świecie nie śmiał się tak promiennie. Nikt na świecie nie był tak lekkomyślny i mądry, wesoły i prosty, tak serdecznie kochający, sprawiedliwy i pewny.

Niestety rzadko przyjeżdżał do Hołowina i Niżpola, wałęsał się bowiem po świecie to tu, to tam. To się uczył w jakimś odległym uniwersytecie, to polował na tygrysy i lamparty

(naprawdę, bez blagi), to miał jakieś ważne, a tajemnicze sprawy w różnych krańcach świata. Nigdy nie można było przewidzieć, jaką markę⁸ nosić będzie list od niego. To było zachwycające.

Po zmęczeniu podróży Nik obudził się późno i z przerażeniem zobaczył, że łóżka Olka i Toma są już puste. Wskoczył tedy co prędzej z pościeli i ubierał się szybko, w trwodze, że już wuj Miś przyjechał, a jego nie obudzono. Okazało się jednak, że jeszcze nie przyjechał i że wszyscy zasiadają właśnie do śniadania.

Ale matka nie zdążyła jeszcze kawy nalać do filiżanek, gdy do pokoju wszedł wuj Dymitr. Nikt go nie poznał, bo miał na sobie mundur. Więc w ciszy ogólnej, wywołanej zdumieniem, powstała matka; pochwyciła go za ręce i spytała zdławionym głosem:

— Powołali cię?

— Nie — brzmiała cicha odpowiedź.

— Więc sam... ochotnik?

— Tak.

— Misiu... och, Misiu — powiedziała matka i głos jej się załamał.

Ale oczy miała suche.

Wuj Miś nachylił się do rąk siostry, ucałował je, jedną po drugiej, a potem wyprostował się i rzekł z uśmiechem:

— Przepraszam cię, Marto.

— Ale dlaczego? Po co? — zapytała matka.

Wuj Dymitr pociągnął siostrę ku oknu, podniósł firankę. Po ulicy szeroką, szarozieloną strugą płynęło wojsko. Powiedział, patrząc na nich.

— A oni? Po co oni?

— Ale ty nie musisz! Uwolniłeś się przecież zupełnie od wojska wtedy, gdy musiałeś stawać!

— Za pieniądze — powiedział wuj Dymitr — pieniądze nie powinny uwolnić mnie od śmierci, gdy taki przyszedł czas. Wszystko kupować wolno prócz życia, gdy idą ginąć ci, co ich nie mają. Muszę i ja.

Matka raz jeszcze pochwyciła ręce brata i rzekła z gniewem, groźbą i męką:

— Ale oni idą bić się za ojczyznę, za własną!

— Och nie, nie — zaprzeczył, potrząsając głową — ci nie, i tamci w Królestwie, na Pomorzu, w Poznańskim także nie, ani ci z Ukrainy, Kaukazu, Finlandii!

Matka odeszła nagle od okna, jak gdyby zapomniała o obecności brata. Brwi miała ściągnięte, oczy błyszczące. Zapytała szorstkim głosem:

— Dlaczego dzieci nie jedzą śniadania?

— Bo czekamy na mamę i wuję Misia — odrzekła Marta, ale matka zdawała się wcale nie słyszeć tej odpowiedzi. Siadła przy stole i wskazawszy bratu miejsce naprzeciw siebie, zaczęła smarować bułki, nalewać kawę, krajać chleb. Poruszała rękami szybko i zgrabnie; gdy jednak podniosła pierwszy kawałek do ust, zdało się, że nagle ręce jej straciły władzę. Złożyła chleb na talerzu i siedziała nieruchoma, nie patrząc na nikogo i gryząc, gryząc bez końca, ten jeden, mały kawałek chleba, gorzki i słony.

Po śniadaniu wuj Dymitr powiedział, że pójdzie robić starania, aby do pierwszego pociągu towarowego idącego na Sarny przyczepiono wagon osobowy. Przez dwa dni bowiem miał być wstrzymany ruch osobowy na południe z powodu przerzucania wojsk.

Chłopcy i Marta poprosili o pozwolenie pójścia do Ostrej Bramy i poszli z panną Marią.

— Mnie się zdaje — rzekł Nik, idący przodem z Olkiem i Tomem — mnie się zdaje, że teraz już będzie wszystko inaczej, w Niżpolu i na całym świecie.

— Jak to inaczej? — zaprotestował Tom. — Już tyle razy była na świecie wojna: i za Aleksandra Macedońskiego, i za Napoleona, i za innych wojowników, a przecież ciągle jest tak samo.

— Głupi jesteś — rzekł Nik. — Skąd wiesz, że tak samo? Mnie się właśnie zdaje, że za każdym razem jest potem inaczej.

— Et! Święty by was nie zrozumiał z waszym „tak samo” i „inaczej”. Co to znaczy „inaczej”? Co ty przez to rozumiesz, Niku? — zirytował się Olek.

⁸marka — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

Ale Nik nie umiał powiedzieć, co przez to rozumie i wołał dać za wygraną. Żeby zaś zagadać tę sprawę, zaproponował, aby wszystkie modły pod Ostrą Bramą były wyciężone w celu ubłagania Matki Boskiej, aby dziś jeszcze był pociąg do Niżpola. Strasznie mu się już chce do domu.

— To nie wypada prosić o taką drobną rzecz — powiedział Tom, który zawsze wiedział co wypada, w jakim miejscu, a co nie. — Ale jeżeli obraz będzie odsłonięty, to znaczy, że pojedziemy dziś, a jeżeli nie, to nie — zaprorokował.

Obraz był odsłonięty.

Po wyjściu brata i dzieci matka pozostała sama z Anią w hotelu.

Z początku kręciła się po pokojach, pakując i składając rzeczy; coraz jednak stawała w oknie i długo patrzyła w ulicę.

W końcu włożyła kapelusz, związała budkę⁹ Ani na kokardę i wyszły.

— Dokąd idziemy, Musiu? — spytała Ania.

— Do Ostrej Bramy — odpowiedziała matka.

Szły ulicą zalaną słońcem, a tak natłoczoną, że z wolna tylko można było się posuwać.

Szły sobie, trzymając się mocno za ręce, wśród tłumu dorosłych i dzieci, żołnierzy i cywilnych, strojnych dam, panów i gospólstwa.

Wszyscy wokoło byli ożywieni i krzykliwi. Szable dzwoniły po chodniku, trąbki samochodowe buczały ostrzegawczo, oberwani chłopcy wykrzykiwali nazwy gazet, a ponad tym gwarem, daleko w górze brzmiał dzwon kościelny.

W jakimś miejscu trzeba było przeciąć ulicę, którą płynęły niekończące się szeregi żołnierzy. Matka z Anią zatrzymały się więc na skraju chodnika i stały wśród gęstego tłumu.

Żołnierze szli. Szereg za szeregiem, oddział za oddziałem. Szli, szli i szli. A potem jechali na koniach, z muzyką.

Ania była zachwycona. Trąby złociste błyszczwały w słońcu i tak wspaniale, triumfalnie grały!

Ania ścisnęła matkę za rękę i skakała na jednej nodze.

Nagle spostrzegła, że ręka matki drży w jej małej dłoni. Podniosła oczy i zobaczyła rzecz zdumiewającą.

Matka odchyliła głowę w tył, zamknęła oczy, a twarz jej była zalana łzami. Usta uśmiechały się, a łzy jak grad spływały po policzkach, odbijały się o kołnierz żakietu i spadały aż na ręce.

Ania szarpnęła ręką matki.

— Musiu! — krzyknęła groźnie. — Dlaczego Musia płacze?

Matka nic nie odpowiedziała. Zawróciła i poszła wolno w stronę hotelu, ścisnąjąc mocno rękę Ani.

Muzyka dolatywała z daleka, a żołnierze ciągle szli.

Ania już się nie spytała drugi raz.

ROZDZIAŁ V. RÓŻNE POGLĄDY NA PAKOWANIE I ROZPAKOWYWANIE

Wuj Dymitr wysłał z Wilna depeszę do Niżpola, oznajmiając dzień powrotu, ale od razu na pocztce powiedziano mu, że nie jest rzeczą pewną, czy depesza dojdzie we właściwym czasie, a nawet czy w ogóle dojdzie.

I widocznie nie doszła, bo na stacji w Żytomierzu nie znaleziono niżpolskich koni. Wuj Miś chciał zaraz brać dorożki i jechać do Niżpola, ale matka nie zgodziła się na to. Zdecydowała się zjechać do hotelu i stamtąd posłać wiadomość do domu.

Franciszek, portier hotelu, do którego zawsze zajeżdżano, ucieszył się nadzwyczajnie, zobaczywszy panią Charleńską z dziećmi, znał on wszystkich ziemian okolicznych i każdego witał jak osobistego przyjaciela.

— A myśmy się tu już niepokoiłi o panią — mówił, prowadząc gości do przeznaczonych dla nich pokoiów. — Bo to ta Połaga, to nad samą podobno granicą? To prawie nie ma dnia, żeby ktoś mnie nie zapytał: „Franciszku, a przyjechała już pani Charleńska

⁹budka — kapelusz ze sporym daszkiem osłaniającym twarz. [przypis edytorski]

z dziećmi?”. Bo to u nas, proszę pani, hotel pełnusięńki, szpilki by nie wsadził. Ale dla jaśnie pani to zawsze się miejsce znajdzie.

— Czemuż to taki zjazd? — spytała matka.

— Wojna, proszę pani, wojna! — powiedział Franciszek z taką dumą, jak gdyby ta wojna była jego osobistą zasługą.

— Jednych biorą do wojska... — tu zwrócił się do wuja Dymitra i rzekł z odpowiednio zasmuconą miną — kto by to pomyślał, Panie święty, że i pan hrabia nałoży mundur!... Drugim zabierają konie, automobile, to każdy by chciał swoje ocalić. Więc: a to do gubernatora, a to do generałów znajomych! A jeszcze inni to prosto przez ciekawość...

Nagle zatrzymał się i wykrzyknął ze szczerym oburzeniem:

— Ale ja tu gadam i gadam, a nic nie mówię, że pan Oleśnicki z Hołowina jest u nas przecież od dwóch dni. Filip, dawaj kuferki i leć pod czwartę, powiedz, że pani Charłęska z dziećmi przyjechała.

Wuj Ryszard przyszedł zaraz, uściskał siostrę i jej dzieci i spytał o drogę. Z roztargnieniem wysłuchawszy opowieści, zaraz zaczął narzekać na to, co się działo. Mówił, że nie będzie już czym jeździć, bo zabierają automobile i konie, że musiał przerwać rozbudowę cukrowni, a z kopalni Labradoru zabrali połowę robotników.

Matka słuchała tego dosyć obojętnie, a zainteresowała się dopiero, gdy zaczął utyskiwać na powołanie do wojska służby, robotników i parobków. Wówczas ją wypytywać, kogo mianowicie wzięli i z wielkim smutkiem słuchała tej długiej listy.

— Mój Boże! — mówiła. — Więc i Kiryluka wzięli! Sześcioro dzieci w chacie i taka bieda! Ach, i Iwana, w tym roku się ożenił z dziewczyną niżpolską, biedna kobieta! Czy nie można by go uwolnić?

Wuj Ryszard parsknął śmiechem: „Uwolnić? Teraz? W czasie wojny? Zabierają na front gubernatorskich synów, najwplywowszych urzędników i panów, nie tylko Kiryluków i Iwanów! Na to nie ma rady”.

Potem opowiedział, że żona jego, ciocia Halszka z Reną i Alim są teraz w Paryżu, dokąd uciekli z Ostendy, i że nie chce, on, wuj Ryszard, aby wracali przed końcem wojny, która dłużej trwać nie może niż dwa, trzy miesiące. A Marietka ciągle w klasztorze w Zbylitowskiej Górze — niech tam przeczekaj wojnę.

I znowu zaczął narzekać na żelazne prawo, które zaczęło rządzić światem.

Wujowi Misiowi widać strasznie to obrzydło, bo opuścił starszych i przeszedł do drugiego pokoju, gdzie Marta pomagała panie Marii wyjmować z kufrów potrzebne do przebrania się rzeczy. Stał przy niej i powiedział:

— Strasznie lubię pakować, ale nie cierpię rozpakowywać. Ty także?

Marta zdziwiła się.

— Ja? Nie! Ja właśnie lubię rozpakowywać.

— To dlatego — objaśnił wuj Miś — że ty wolisz dojeżdżać, a ja wyjeżdżać, zawsze wyjeżdżać.

Tom, który siedział na czarnym kufrze i piętami wybijał na jego boku wojennego marsza, powiedział:

— Przecież po to się właśnie wyjeżdża, ażeby dojechać, więc co wuj Miś sobie myśli?

— Ach, Tomku! — wykrzyknęła Marta. — Jak ty się wyrażasz? Czyż można do starszych mówić: „co wuj sobie myśli”?

— Ja przecież nie powiedziałem „co wuj sobie myśli”, tylko: „co wuj sobie myśli?”. To było zapytanie.

Wuj Miś śmiał się.

— Ależ tak, tak — powiedział — to było zapytanie, a nie wykrzyknik! Otóż ja sobie myślę, że w ogóle ludzie wyjeżdżają rzeczywiście po to, żeby dojechać, ale ja...

— Tak — pokiwał Tom głową ze zrozumieniem — prawda, że wujaszek zawsze inaczej robi, jak¹⁰ inni ludzie. Więc dlatego...

Marta wstała z kolan, zamknęła swój kufer i powiedziała z uczuciem:

— Ja nawet tak strasznie lubię dojeżdżać, a szczególnie do domu, że płakać mi się chce na myśl, że pewnie dopiero jutro będziemy w Niżpolu. Bo nim dojedzie posłaniec,

¹⁰inaczej (...) jak — dziś popr.: inaczej niż. [przypis edytorski]

dotychczas zdaje się niewysłany, nim papcio przyśle konie, to już będzie wieczór, a mama mówiła, że nie pojedzie z nami wieczorem, bo teraz pełno poborowych na drogach.

— Wiesz co? — powiedział wuj Miś. — Weźmiemy konie wuja Ryszarda i pojedziemy.

— Ba! — wykrzyknęła olśniona propozycją Marta — ale przecież nie zmieścimy się wszyscy w powozie, a w dodatku wuj Ryś może przyjechał bryczką... nie wiesz, Tom?

— Powozem, ale któż to wie, może sam wraca dziś do Hołowina i nie zechce nam dać koni.

— To się go nie będziemy pytać — zdecydował wuj Dymitr... i poszedł pertraktować ze starszymi.

Wyniki tych pertraktacji okazały się pomyślne i zaraz po zjedzeniu śniadania pani Charłęska z Martą, Anią, Tomem i panną Marią pojechała do Niżpola, zostawiając starszych chłopców pod opieką wujów do chwili przysłania po nich koni.

ROZDZIAŁ VI. POWITANIE DOMU

W samo południe wjeżdżała pani Charłęska z dziećmi do Niżpola. Kiedy powóz wtoczył się między białe niżpolskie chaty, Marta stanęła na ławeczce, twarzą do koni i patrzyła w daleką perspektywę wiejskiej drogi, na końcu której, w miejscu, gdzie gościniec zawracał na lewo, widniała szeroka, żelazna brama, wsparta na dwu labradorowych¹¹ kolumnach.

Za tą bramą był park i dom. Z biciem serca Marta pomyślała o tej chwili, w której rozтворzą się obie połowy bramy, a powóz wtoczy się na żwir alei, między zielone trawniki.

„Tam jest mój dom, mój najdroższy dom” — myślała radośnie, ściskając mocno w rękach żelazną barierkę kozła.

W głębi powozu panna Maria powiedziała do matki:

— Chwała Bogu, proszę Pani, już dojeżdżamy.

— Tak — odpowiedziała matka — już, na szczęście! Zawsze w domu jest najlepiej!

Tysiące razy już Marta słyszała ten frazes, ale prawdziwość jego objawiła jej się dopiero w tej chwili.

Gdy powóz zatrzymał się na moście przed bramą, a furman zlął z kozła, by ją otworzyć, Marta zobaczyła dom, swój biały dom, pod czerwonym dachem, opleciony winem, wsparty na długim szeregu białych kolumn. A potem, kiedy powóz toczył się po żwirze, Marta czuła, że serce jej skacze z radości i wzruszenia. Oczy jej obejmowały kwiaty płonące w słońcu, wnikały w wilgotną głębię parku, całowały okna domu, jedno po drugim, te okna, za którymi znajoma była każda rzecz, wiadomy każdy kąt i sprzęt każdy.

Na turkot powozu z oficyny wypadł Sławian w zielonym fartuchu. Spojrzał, zniknął, wypadł na nowo i pędził już ku domowi; zapadł w drzwi kredensowe i wyłonił się u podjazdu w chwili, gdy konie stanęły.

Między domem a oficyną zaroilo się; klucznica, spocona i czerwona jak dojrzałe jabłko, szła szybko, acz z godnością. Starszy służący, Łukasz, wyniknął zza lodowni i biegł, przeskakując kwietniki. Inne, mniej dostojne i niżej postawione istoty, kręciły się wokół oficyny, nawołując w pośpiechu.

— Bo to, proszę jaśnie pani, pan właśnie pojechał z rana do Czerniachowa — mówił Łukasz, zdejmując pled z nóg pani Charłęskiej — pod wieczór wróci. My się tu zupełnie dzisiaj jaśnie pani nie spodziewali, tylko czekali my ciągle na „telegramę”. Mało że trzy razy pan wyjeżdżał na kolej do Żytomierza.

— Dzień dobry pani Czarnieckiej — powiedziała matka do klucznicy — czy wszystko dobrze?

— Wszystko w porządku — odpowiedziała ochmistrzyni, ujmując podaną sobie rękę w sposób wytworny i delikatny. — Jak gdyby pani wczoraj wyjechała.

— A mnie to już biorą do wojska — oznajmił Sławian i w tej chwili wydał się Marcie nadzwyczaj interesującym.

¹¹labradorowy — zrobiony z labradoru a. labradora; *labrador*: minerał, jeden z krzemianów, charakteryzujący się mieniącą się barwą (zjawisko irydizacji), niebieskawą, zieloną a. różową, którego złoża odkryto w XVIII w. na półwyspie Labrador (stąd nazwa), labrador jest składnikiem skał magmowych zw. *labradytami*; w budownictwie używa się tafli oszlifowanego labradora do ozdobnego wykładania wybranych powierzchni np. kolumn. [przypis edytorski]

W domu, w środku było chłodno i ciemnawo. Rolety zapuszczone, a meble osłonięte pokrowcami. Matka zaraz kazała pootwierać okna od północnej strony. Mówiła, że nie ma powietrza.

— Czemuż się to tak szczelnie zamykacie? — zapytała Łukasza. — Rolety niech będą opuszczone tylko po słonecznej stronie, a od północy proszę pootwierać. I pokrowce! Proszę zaraz zdjąć pokrowce.

— Żeby my się jaśnie pani spodziewali, to byłoby wszystko jak należy. A tak, to ja spytałem pana: „Może by tak pozamykać pokoje, bo na co się mają niszczyć od słońca i much?”. A pan powiedział: „Dobrze, zamknij, Łukasz i nałóż pokrowce. I owszem, niech się nie niszczy, póki pani nie ma”. A pan mieszkał w gabinecie, to tu nawet i nikt nie chodził.

Ale Marta już dawno nie słuchała tej rozmowy. Biegła z pokoju do pokoju, pełna radości i wesela.

Otóż nareszcie i jej pokoik. Własny. Niebieskie łóżko nakryte kapą — puste. Wszystko znajome, a jak gdyby obce. Grzecznie, równiutko ustawione, porządne, uprzejme i chłodne. Lampa przed obrazem niezapalona, obraz ogołocoony z kwiatów i pnączy, klęcznik jakiś ceremonialny, a biurczko niby śpiące czy umarłe?

Marta wyjęła z szuflady teczkę, kałamarz, i próbowała przestawić parę krzeseł. Wszystko na próżno!

Tom wsunął głowę przez drzwi i powiedział, ale nie do Marty, tylko tak, w powietrze.

— A ja idę do parku, bo tu nie ma co robić.

— Idę z tobą — zawołała Marta i razem wybiegli przez ten zimny, ogromny, właściwie pusty salon, w którym właśnie Łukasz zdejmował pokrowce i otwierał oszklone drzwi na północny taras.

Marta powiedziała ze smutkiem:

— Bo w domu coś się zmieniło!

— Nic się nie zmieniło — zaprotestował Tom — tylko jest pusty. Nikt nie mieszka.

— A papo?

— Papo sobie mieszkał w gabinecie, w kancelarii, na toku! A zresztą papo to nie mama.

Ale w parku było zupełnie tak jak dawniej, tylko dwa razy piękniej. Wszędzie się słały kwiaty purpurowe, żółte, szafirowe. Trawniki nisko skoszone lśniły jak atlas, a jezioro ciche, głębokie, dobrotliwe, połyskiwało gładką taflą. Łabędzie wypłynęły z ciemnego kanału i wolniutko sunęły w stronę przystani, a na wodzie pozostawiały koła coraz szersze.

Marta powiedziała, że już przynigdy więcej nie wyjedzie z domu.

— A ja wyjadę — rzekł Tom. — Ale potem zaraz wrócę, bo wracać jest najprzyjemniej.

CZĘŚĆ II. WUJ DYMITR

ROZDZIAŁ VII. SPRAWKA WUJA DYMITRA

— No i cóż ci się zmieniło, odkąd jest ta wojna? — spytał Tom Nika, gdy raz, zawieszeni między niebem a ziemią, siedzieli na starym orzechu włoskim. — Dwa lata już trwa, a wcale nie jest inaczej niż przedtem!

— Jest inaczej — rzekł Nik stanowczo. — Nic dziwnego jednak, że tego nie spostrzegasz, gdyż jak i dawniej jesteś małym i głupim chłopcem.

Tom nie obraził się — rzucił niedojrzałym orzechem w Huka, który kręcił się niecierpliwie pod drzewem, trafił go w nos i zadowolony z celności swego strzału rzekł spokojnie:

— Bo to, że jest teraz mniej koni, że zamiast służących są mali chłopcy, że zabrali Łukasza, ogrodnika i innych i że się nie jada czterech potraw na obiad, to nie jest żadna zmiana. Ja przynajmniej tego zmianą nie nazywam. A ty, Olku?

Olek, głęboko nad czymś zadumany, powiedział bezmyślnie: „I ja także” — a potem nastąpiła cisza.

Ale Nik czuł, czuł doskonale, że wszystko jest inaczej, tylko nie wiedział co. Naturalnie, że wcale nie myślał o tym, że się nie jada czterech potraw i że się nie wyjeżdża na zimę do Warszawy, i że służby jest mniej, i w ogóle... Ale przecież każdy to rozumie, że coś się przeinaczyło najgłębiej. Tylko co?

— Bo gdyby to była polska wojna, to rozumiem — ciągnął dalej Tom z tym spokojem, który daje pewność — wtedy byłoby zupełnie inaczej! Cieszyłoby się, gdyby wojska szły naprzód, czekałoby się z biciem serca wiadomości...

— A tak się nie czeka? — wykrzyknął Nik. — Starsi wydzierają sobie gazety!

— No, ale cóż z tego? — rzekł Tom. — Mówią: „ach! chwała Bogu, Przemyśl wzięty”, a tu raptem płaczą, że Lwów zajęli Moskale, i znowuż rozpaczają, że Warszawa w rękach Niemców! A właściwie nie powinni ani się cieszyć, ani smuć, bo cóż z tego wszystkiego?

Nik wcale nie słuchał przemowy Toma. Powiedział nagle:

— Przedtem był spokój, a teraz nie ma!

Ale odkrycie to powitał wybuch śmiechu obu braci.

— A toś nam nowinę powiedział — śmiał się Olek — naturalnie, że nie ma pokoju skoro jest wojna.

Ale Nik już wiedział, co myśleć. Rzekł:

— Ja nie mówię „pokoju” tylko „spokoju”. Bo wojna przecież do nas nie dochodzi, a niepokój dochodzi. Wszyscy są niespokojni, zdenerwowani. Właśnie. Ciągłe na coś czekają, czegoś pragną, czegoś się boją. Latają na wszystkie strony. Ale to właściwie nawet nie o to chodzi. Tylko dawniej rozmawiało się o tym, jaka jest koniczyna i ile będzie pudów chmielu, i że trzeba poprawić dachy na budynkach albo że się pojedzie w niedzielę do Hołowina. A teraz mówi się jak o chlebie powszednim o odwadze, bohaterstwie, okopach, ranach i krzyżach, i o armatach. A nawet się wie, że można to wszystko zobaczyć własnymi oczami.

— Może ktoś może, ale my nie — powiedział Tom. — Front tak daleko!

— Ja zobaczę — powiedział spokojnie Nik.

W tym miejscu rozmowy i Olek się zainteresował.

— Jakimże to sposobem spodziewasz się zobaczyć, Niku? — zapytał. — Bo ja to co innego. Za dwa lata skończę gimnazjum i pewnie wezmą mnie do wojska.

Ile razy to mówił, a mówił dosyć często, Nik i Tom uczuwali w sercu żądło zazdrości.

Tym razem jednak Nik zniósł te słowa spokojnie.

— Zobaczę. Bo najpierw to nieprawda, że wojna się skończy tak prędko. Wszyscy to ciągle powtarzają, a jednak nie kończy się. A po wtóre... zobaczę.

Czasem się zdarzało, że Nik twierdził coś z całą stanowczością, a nie chciał twierdzenia swego uzasadnić. Innym nie było wolno tak robić, ale Nikowi — owszem. I musieli mu wierzyć — tak na słowo. I zresztą zawsze okazywało się potem, że miał rację.

I teraz Olek ani chwili nie wątpił, że Nik zobaczy, skoro tak powiedział. A nawet wydała mu się taka rzecz bezsensowna, że Nik już widział, bo wuj Dymitr był na froncie.

A to było coś niezmiernie dziwnego! Oto wuj Dymitr i Nik wydawali się czasem Olkowi jedną osobą, zlewali się niekiedy w jego głowie i sercu w jedną doskonałą istotę, jakąś nieuchwytną, bliską, a tak nieskończenie daleką!

Olek wiedział, co go w przyszłości czeka. Znał swoje życie rok po roku. Wtenczas zrobi to, a potem tamto, będzie tu i tam, częściej tu. Będzie miał takie obowiązki, a takie prawa i nic mu się nie zdarzy inaczej, tylko wszystko tak, jak być musi, jak będzie.

Ale Nik — to jest tajemnica... Jego mogą spotkać najbardziej nieprawdopodobne losy. Nik może nawet powiedzieć, że będzie królem albo że odkryje sposób dostania się na Marsa, albo że pobije wszystkie wojska wroga na czele wielkiej i potężnej, a stworzonej przez siebie armii polskiej!

Nik może to powiedzieć, a nawet zrobić! A on, Olek, nie. I Tom nie, a o Marcie i Ani to nawet nie ma mowy.

I dlaczego to tak jest? Dlaczego? Przecież on jest starszy i silniejszy i uczy się znakomicie, jest pierwszym uczniem w klasie, a Nik przecież nie. Nik potrafi zupełnie nie nauczyć się lekcji, siedzieć cały dzień w stajni i twierdzić, że już wszystko umie, a potem okazuje się, że nie! A przecież ojciec wyraźnie im zapowiedział, że przeniósłszy się z konieczności ze szkoły polskiej do gimnazjum rosyjskiego (od chwili odcięcia od Warszawy), muszą w tym gimnazjum dowieść, że szkoła polska wyżej stoi, że daje najlepszych, najsławniejszych uczniów. I Olek dowiódł. I wie o tym, że jest uczniem doskonałym, zdolnym, byстрыm i sumiennym. Nauczyciele go szanują, koledzy kochają i cenią. A Nik — nic. Nik zawsze jest pełen prostoty, z pozoru zupełnie zwyczajny, dobry, żywy chłopak, trochę niedbały i leniwy, a taki stokroć, stokroć wspanialszy niż inni — zupełnie niezgłębiony — jak wuj Dymitr!

Co ich łączy? Czyżby tylko to podobieństwo twarzy i ruchów, uśmiechu i głosu?

Olek tak się zadumał nad tą tajemnicą, że nie słyszał końca dyskusji braci.

Ocknął się dopiero w chwili, gdy już obaj złazili z orzecha, ku nieklamanej radości Huka.

Nik właśnie mówił, że musi pójść na chmiel zobaczyć, czy w tym roku będzie ładny zbiór. Poszli więc obaj z Olkiem, podczas gdy Tom ruszył do sadu w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia.

Plantacje chmielowe znajdowały się przy drodze z Żytomierza, po jednej stronie. Po drugiej ciągnęły się długim szeregiem chaty wsi Perehonówki, stanowiącej niby przedmieście Niżpola. Plantacje oddzielone były od drogi głębokim rowem i płotem. Nieskończenie długie, wąskie aleje wiotkich łodyg, okręconych wokoło drutów pionowych, równomiernie zawieszonych na szachownicy drutów poziomych, lekko falowały na wietrze. Odurzający, mocny zapach chmielu owiał chłopców.

Olek zerwał garść małych jeszcze szyszek i uważnie rozcierał je w dłoniach. Były ładne, nieduże, a zwięzłe, bez pleśni ni rdzy — zdrowe. Gęsto pokrywały łodygi, tworząc jaśniejsze plamy na ciemnym tle szorstkich liści.

— Jeśli nie padnie rdza ani pleśń, to będzie w tym roku dużo chmielu i ładny — powiedział Olek — tylko kto to będzie rwać? Kiedy baby muszą orać, bronować i w ogóle zastępować mężów!

Nik nie odpowiedział. Włazł na płot i uważnie nasłuchiwał, wyęzając wzrok.

— Co tak patrzysz? — zapytał Olek.

— Bo mi się zdaje, że słyszę automobil — powiedział Nik.

— Ech! cóż znowu — zaprotestował Olek — któż to dziś w okolicy ma auto? Wszystkim pozabierali — ale w tej chwili przerwał, bo sam również posłyszał podejrzany, miarowy dźwięk.

Włazł za bratem na płot i obaj nasłuchiwali w wyczekującej postawie.

Naprawdę, to był automobil — już było słychać zupełnie wyraźnie.

— Pewnie nie do nas — rzekł Olek, ale jednocześnie do duszy wpłynęła mu błoga nadzieja, że może jednak to wuj Dymitr, który na swojej maszynie służył w automobilowej rocie i czasem, rzadko, przyjeżdżał na dni parę.

Teraz już chłopcy nic nie mówili, tylko czekali. Po drugiej stronie drogi, między chatami, było zupełnie cicho, kury tylko gdakały na śmietnikach i psy ziewały w słońcu. Nawet dzieci nie było nigdzie w podwórzach, wszystko, co żyło, wyległo w pola. Nad

Chłop, Pan, Wojna, Praca

drogą drżała zlocista mgielka kurzu prześwietlonego słońcem. Badyłe płotu pachniały rozgrzanym drzewem, a lekki wiatr cichutko szeleścił liśćmi chmielu.

Daleko na drodze ukazał się punkt ciemny, który raz po raz błyskał w słońcu i sunął szybko ku wsi. Nik powiedział parę razy zupełnie cicho: „To na pewno wuj Miś, to na pewno wuj Miś”.

Co do tego, to już nie było dwóch zdań. Już bowiem doskonale było widać podłużną szarą maszynę wuja Misia i nawet to dostrzec było można, że jedzie sam.

Chłopcy przeskoczyli płot, przesadzili rów i czekali na drodze rozpromienieni i szczęśliwi.

Auto stanęło tuż koło nich, a wuj Miś wyskoczył i porwał ich w ramiona przy triumfalnym huku niezatrzymanego motoru.

Wsiadli. Wuj Miś zapytał zaraz i z widocznym pośpiechem, czy ojciec w domu. Nie, nie było go, pojechał do Hołowina. A matka? A matka pojechała wózkiem do lasu, bo żona gajowego chora.

Ani się chłopcy opamiętali, jak już automobil w ostatniej chwili sprawnie zawrócony przed bramę, na prawo, pędził po gładkiej drodze w stronę lasu.

— Tam pod lasem jest bardzo zła droga — ostrzegł Nik, który stanął w głębi samochodu, zaraz za wujem Dymitrem. Miejsce obok zajął Olek.

— Oho, moja maszyna widziała gorsze — powiedział spokojnie wuj Miś. W ogóle niczym go nie można było nigdy zniechęcić, gdy raz coś postanowił.

— Ale tam w jednym miejscu jest piasek — wtrącił Olek.

— Ba! — rzekł lekceważąco. — Da sobie radę, dosyć ma mocy. Cóż to, myślicie, że już zapomniałem gdzie, co tu u nas jest?

I rzeczywiście dała sobie radę — huczała oczywiście mocno jak dynamo, ale zwycięsko wtoczyła się na twardą drogę lasu i już dalej szła lekko, lekceważąc wszelkie dziury i grudy.

Spotkali matkę, gdy wracała, pozwalając biec wolnym truchtem zasłużonej muce. Była tak uszczęśliwiona, że ani chwili się nie namyślając, rzuciła lejce mucki, wyskoczyła z wózka i chwyciwszy głowę brata w swoje ręce, całowała ją, całowała bez pamięci, w oczy, czoło, włosy... Śmiała się przy tym radośnie i dziecięco. Mucka, korzystając z zamieszania, zeszła z drogi między drzewa, zaczepiła kołem wózka o pień i szczypała od niechcenia trawkę.

Wuj Dymitr zdecydował, że matka wraca z nim, autem, a że i chłopcy chcieli także, więc zawołano chłopca z leśniczówki i powierzono mu zrównoważoną i życzliwą Muckę.

Wuj Miś powiózł daleką, okólną drogą, przez las piszczanecki i Zorohów. Matka siadła obok brata, a chłopcy w głębi.

I zaraz zaczęła się ta najdziwniejsza historia, która tyle potem zaważyła w życiu Niżpolskim.

Zaledwie ruszyli, wuj Dymitr półgłosem rzekł do matki:

— Trzeba ocalić jednego człowieka.

— Kogo? — zapytała matka równie cicho.

— Jednego. Schowałem go w rządowym lesie pod Sokołówką.

— Dobrze — powiedziała matka — a co mu grozi?

— Kara śmierci.

Wtenczas to Nik oprzytomniał i krzyknął nagle jak ktoś, kto wbrew własnej woli spełnia obowiązek.

— Wuju! My wszystko słyszymy tutaj!

Na chwilę nastąpiła cisza, potem wuj Miś powiedział:

— Wiem, że potraficie milczeć.

— Tak — odpowiedzieli Olek i Nik razem.

Wuj Miś mówił więc dalej już głośno:

— To jest legionista. Poddany rosyjski, który, wzięty w niewolę przez Niemców, wstąpił do legionów. Złapali go. Później opowiem ci o tym. Mieli rozstrzelać. Udało mi się, udało cudem ocalić go i tu przywieźć. Na szczęście miałem komenderówkę w te strony. Tymczasem zostawiłem go w lesie. Ale co dalej z nim robić?

Automobil szedł wolniutko, huczając strasznie. Widocznie wuj Miś naumyślnie powstrzymał jego bieg, nie spiesząc się do domu.

— Trzeba było zaraz przywieźć go do nas — powiedziała matka.

— Tak, ale ja nie mogę go tu przywieźć — powiedział wuj Miś. — Jestem zamieszany w sprawę jego zniknięcia. Gdyby go tu wykryli, od razu byłbym posądzony i rozstrzelany. Jestem w wojsku: rozumiesz, nie mogę, Marto. Trzeba, żeby w Niżpolu nikt się nawet nie domyślał, skąd on jest i że ma coś wspólnego ze mną. Trzeba, żeby przyjechał do was zupełnie naturalnie, jak ktoś, kogo się spodziewacie, żeby zajął u was jakąś posadę.

— To może być nasz korepetytor — powiedział Nik, przejęty i podniecony.

— Tak, korepetytor albo sekretarz Augusta. Trzeba, żeby siedział w domu i jak najmniej miał styczności z ludźmi. Postaram się potem wyprawić go zagranicę. Na razie nie sposób. Musi gdzieś przeczekać.

— To wszystko głupstwo — powiedziała matka — nieraz już wspominałam w domu, że muszę wziąć korepetytora do Tomka, więc nie zdziwi służbę nowy przybysz. Żadne władze wojskowe ani cywilne nigdy do Niżpola nie zaglądną. Wojska idą traktem, omijając nas. Zdaje mi się, że nic mu u nas nie będzie grozić. Ale jak go dostawić? Niepodobna, aby przyszedł piechotą, bo to wywołałoby zdziwienie służby. Niepodobna także posyłać po niego konie do lasu, bo jak upozorować jego tam bytność? Trzeba, żeby wszystko odbyło się jak najnaturalniej. Może mógłby wrócić do Żytomierza i tam w hotelu poczekać na konie?

— Niepodobna — rzekł wuj Miś. — Żytomierz pełen wojska: niechże by go spotkał ktoś znajomy! Zresztą ranny jest w nogę, mocno kuleje.

Wtenczas Nik powiedział nagle:

— Tak można zrobić: mama każe zaprzęgać, żeby jechać po korepetytora do Żytomierza. W ostatniej chwili, gdy konie już będą pod gankiem, my z Olkiem poprosimy głośno o pozwolenie pojechania po niego. Mama pozwoli. Michałka odprawimy do stajni i sami pojedziemy. W lesie poczekamy trochę i wrócimy z korepetytorem.

— Dobrze — powiedziała matka po chwili namysłu, a wuj Dymitr puścił maszynę czwartą szybkością i pędzili już cicho do domu.

Matka odwróciła się do chłopców i powiedziała jeszcze:

— Tomkowi, Marcie, mademoiselle: ani słowa. Nikomu.

— Nikomu — powtórzyli chłopcy.

Już dojeżdżając, wuj Dymitr rzekł do matki:

— Przykro jest decydować bez Augusta, ale wiem, że się zgodzi!

— Naturalnie — odpowiedziała matka.

— Potem z nim razem naradzimy się, co zrobić, abyście wy nie byli narażeni w razie czego.

— Tak, potem, potem.

I już stali pod filarami, a Filipek otwierał drzwiczki samochodu.

ROZDZIAŁ VIII. DYPLMATYCZNE ZAPYTANIE

W szczerym polu, gdy ostatnie chaty Niżpola pozostały daleko w dole, Nik powiedział do Olka:

— A jeżeli on nam nie zechce zaufać? Pomyśli, że jesteśmy szpiedzy nasłani i nie pojedzie z nami, tylko ucieknie?

Olek wiedział doskonale, że nie, bo jacy tam znowu szpiedzy! Ale przypuszczenie Nika zainteresowało go.

Wydało mu się romantyczne. Powiedział, że szkoda, iż nie wzięli kartki od wuja Dymitra.

— W takich wypadkach bierze się pierścień, sygnet. Kartka mogłaby wpaść w niepowołane ręce — odrzekł Nik z miną człowieka, który zęby zjadł na wykradaniu więźniów i oszukiwaniu szpiegów.

Po chwili zaś powiedział znowu:

— I musimy także sami bardzo uważać, bo a nuż weźmiemy kogoś innego, za tego legio... a prawda, wuj Miś kazał go nazywać panem Andrzejem, więc za tego pana Andrzeja?

— Przecież wuj Miś powiedział nam wyraźnie, gdzie go znajdziemy! — zirytował się Olek. — Co ty, Niku, wynajdujesz jakieś trudności i niebezpieczeństwa! Sprawa jest prosta jak bagnet.

— Właśnie, że nie taka prosta, jak się wydaje — powiedział Nik ponuro.

Jechali dłuższą chwilę w milczeniu, wzdłuż pola kwitnącej koniczyny. Na zielonej, bujnej powierzchni, gdzieniegdzie brązowały wygryzione płyty, jak łysina poczynająca ogalać uwłosioną gęsto głowę.

— Psia kość, jaka to kaniańka na tej koniczynie — zaklął Olek.

— Mój drogi — przerwał mu porywczco Nik — tu nie o kaniańkę chodzi, tylko o pana Andrzeja. Przecież mogło się tak zdarzyć, że ktoś nadszedł w to miejsce, gdzie siedział i musiał się ukryć gdzie indziej. A jeżeli my się natkniemy na tego innego i spytamy go, czy to on był w legio... czy to on jest właśnie tamtym, którego...

— Nie można powiedzieć, żebyś się jasno wyrażał — rzekł drwiąco Olek.

— Do kroćset! Przecież i tak wszystko rozumiesz! — rozgniewał się Nik.

— Rozumiem.

— No więc, czego się czepiasz?

— Ja się nie czepiam. Tylko czego ty w ogóle chcesz? Naturalnie, że nie będziemy do niego z daleka krzyczyć: „czy to pan, czy to nie pan?”. Trzeba będzie się zapytać dyplomatycznie.

— O to właśnie chodzi — uspokoił się Nik. — Bo cóż z tego, że wiemy, że jest mały, blondyn (także koncept być blondynem, jak się jest bohaterem!), że ma szare ubranie i że kuleje? Mało to możemy spotkać takich samych?

Zamilkli obaj, bo bryczka wjeżdżała do lasu. Byli bardzo wzruszeni. Jechali teraz wolno, drogą, która szła nieco w górę, ocieniona wysoką ścianą drzew gęsto podszytych. W pierwszą linię boczną skęcili na lewo i jechali już zupełnie wolno, noga za nogą, jak najciszej. Kiedy już podjeżdżali do dębu, od którego mieli rozpocząć poszukiwania, z daleka wyszedł z lasu na drogę jakiś człowiek i szedł ku nim.

— To jest nadleśny... — powiedział Nik, który miał wzrok znakomity.

Spojrzeli na siebie z przerażeniem. Jeśli widział legionistę to co? To co? Jeśli przyczepi się do nich i będzie oprowadzał po lesie?!

— Ani słowa do niego, ani słowa! — wyszeptał Olek.

— Naturalnie!

— I bądź wesół. Nie rób takiej głupiej miny. Dlaczegoś ty taki błady do licha! Zwa-riowałeś czy co? Co ty robisz?

Ale Nik już się opanował. Zeskoczył z bryczki, śmignął przez rów i pełnymi garściami poczał rwać rosące wokół trawy i zioła. Zerawszy ich pełną naręcz, wrzucił do bryczki i potem rwał dalej, już zupełnie spokojnie, pilnie szperając między trawą.

— Nik, co ty robisz, co ty robisz? — szepnął, nie poruszając ustami Olek.

Nadleśny już stał koło bryczki i uśmiechał się do chłopców.

— Dzień dobry Siergiej-Iwanowicz — powiedział wesoło Nik, przeskakując rów z powrotem na drogę, z garściami pełnymi ziół. Wyjechaliśmy do lasu z profesorem po rośliny do botaniki.

— Aha! — nadleśny wyciągnął do Nika przyjacielsko szeroką dłoń. — Panicze z Niż-pola? Wielki to zaszczyt dla naszego lasu, goście rzadko widziani!

Nik nachylił się nad rowem, patrząc uważnie:

— Właśnie szukamy takiej rośliny, co się nazywa „*cretinis forestis*¹²”, a nasz profesor gdzieś nam zniknął w tych poszukiwaniach. Strasznie jest zapalony do botaniki i w ogóle wszystkiego. Wlaż kilka dni temu na drzewo, żeby złapać jakiegoś skorka, spadł i nogę sobie zwichnął. Czy wy, Siergiej Iwanyczu, nie spotkaliście go przypadkiem?

— Może i spotkał ja. Coś mi się tak mignęło w krzakach, że ja nawet i wołał, ale potem to mi się widział jakby zając.

— Bo to pewnie i był zając — powiedział Olek, spędzając batem muchy z końskich zadów.

¹²*cretinis forestis* — żartobliwy twór słowny udający nazwę łacińską przez zastosowanie odpowiednich koń-cówek wyrazów, a oznaczający „kretyn leśny”. [przypis edytorski]

— Ale my już pana musimy pożegnać — powiedział Nik, wyciągając do nadleśnego rękę — bo pan się spieszy do domu na kolację, a my musimy odszukać naszego profesora.

— Tak, tak, spieszo do domu — roześmiał się głupowato nadleśny. — To wy panicznie nie chodzicie do „gimnazji”?

— Owszem, owszem. Ale widzi pan, trudno po rosyjsku, ja bo jestem strasznie do tego języka tępy, więc muszę mieć korepetytora. Nie to, co Olek, ten ho, ho! Daje sobie radę! Do widzenia panu. Ja już nawet znalazłem „*cretinis forestis*”. Bardzo ładna roślina. Widzi pan? I pachnie w dodatku.

Mówiąc to, Nik wtykał nadleśnemu pod nos pęczek macierzanki z miną tak czarującą, że Olek aż się odwrócił na koźle i syknął przez zęby.

Odchodząc drogą, nadleśny odwracał się kilkakrotnie i przesyłał chłopcom przyjacielskie pozdrowienia ręką. Olek dotykał wtedy czapki, a Nik wołał uprzejmie: „do widzenia, do widzenia!”.

Gdy znikł, Olek powiedział z goryczą:

— Ty, Nik, jesteś niemożliwy!

— Potem mi to powiesz, bracie pierworodny, a teraz szukajmy.

— Dobrze, szukajmy. Ale ja ci potem powiem.

Zapuscili się w głąb lasu, konie uwiązawszy na polanie. Od umówionego dębu odliczali pilnie kroki. W gąszczy zielonym malin, paproci, jeżyn i jałowca stanęli i osłoniwszy usta rękami, zawołali cicho, lecz bardzo wyraźnie: hop, hop. — Potem drugi raz i trzeci.

A potem czekali z bijącym sercem.

Gdzieś bardzo blisko zaszeleściły liście i zza krzaków wyłonił się szaro ubrany chłopiec, bardzo błądy. Ujrawszy Olka i Nika, cofnął się o krok.

Stali naprzeciw siebie, mierząc się oczyma, nieufni, trwożni i wzruszeni.

W końcu Olek wykrztusił:

— Więc chodźmy. Bo pan pewnie bardzo zmęczony.

— Tak... zmęczony jestem — powiedział, a raczej wyszeptał chłopiec.

— Tutaj mamy bryczkę na polanie. Jeśli spotkamy nadleśnego, to niech się pan nie boi, bo on myśli, że pan jest naszym profesorem.

— A tu jest mleko z koniakiem. Niech się pan napije — powiedział Olek, zdejmując termos z ramienia.

Legionista pił, oparli się o pień drzewa, a chłopcy czekali w milczeniu.

Potem poszli wolno, bo potykał się między drzewami i mocno kulał.

Wsiadli do bryczki i Olek ostro popędził konie. Nie odwracając na bok głowy, jednym okiem, nieznacznie przypatrywał się Nik swemu towarzyszowi. Widział jego profil dziecienny i czysty, niby narysowany jedną płynną linią przez umiejętną dłoń. Widział zmęczone, co chwila zamykające się oczy i jasne, zbyt długie, złane potem włosy.

„Wygląda jakby trzech nie zliczył, a bił się, wstąpił do legionów” — pomyślał Nik z podziwem i w tejże chwili podtrzymał swego towarzysza, który wyraźnie słabł z bólu.

Olek zaś popędził konie, nie bacząc na wyboje i mostki. Chciał wrócić do domu, nim ludzie z pół schodzą zaczną, by jak najmniej oczu widziało podejrzenie bladego gościa.

Przed samym Niżpolem skręcił w polną drogę, objechał wieś tyłami, okolił folwark i dopiero przed samą bramą wyjechał na drogę.

W alei wjazdowej chłopcy odetchnęli z ulgą. Na balkonie czekali na nich ojciec i wuj Dymitr i od razu zabrali legionistę w swoje ręce.

Chłopcy zostali na balkonie.

Siedli na schodach i patrzyli ze znużeniem, jak Michałko odprowadza wokół gazonu konie do stajni.

Wieś rozbrzmiewała odgłosami wieczoru. Pędzone z pastwisk bydło ryczało tęsknie, wznosząc tumany kurzu, daleko, na drodze, za bramą. Ludzie, wracając z pół, śpiewali, a głosy szeroko się rozlewały po wsi, psy szczekały, pędząc zaglądające do cudzych zagród krowy, a jakiś głos wysoki i niezmiernie dźwięczny wołał śpiewnie: „Motra! a deż win, a deż win podihsia¹³”, a potem gama śmiechu, cha, cha, cha... cha, cha, cha!

Olek zapytał sennie:

— Czy to ty nazywasz „dyplomatycznym pytaniem”, to co tam mówiłeś w lesie?

¹³a deż win, a deż win podihsia (ukr.) — a gdzież on, a gdzież on się podział. [przypis edytorski]

— Och, nie nudź! — odpowiedział Nik.

— Naturalnie, że dziś nie warto! — pokiwał głową Olek — Ale jutro! Jutro wszystko ci powiem, co myślę o tobie!

ROZDZIAŁ IX. RAZ KOZIE ŚMIERĆ

Nazajutrz, o 6-tej rano, zajechała ciocia Halszka z Renią i Alim najętymi końmi wprost z kolei.

Prędzej się można było Niemców spodziewać niż ich widoku. — Przecież jeszcze tydzień temu wuj Ryszard otrzymał list od żony z Nicei, gdzie była od początku wojny, list, w którym nie było wzmianki o powrocie.

— Tak, tak — powtarzała ciocia Halszka, uśmiechając się z radością — wyjechałam niespodzianie, nawet dla samej siebie, zupełnie niespodzianie. Minister handlu sprowadzał swą żonę i dzieci z Beaulieu: więc zabrałam się z nimi. Skorzystałam z tak doskonałej, jedynej okazji. Byłyśmy w przyjaźni. Wszystko mi ułatwili bardzo uprzejmie.

Ale matka jeszcze nie wierzyła w ten niespodziewany przyjazd. Obracała Renię i Alego na wszystkie strony, całowała raz po raz ciocię Halszkę. W ogóle była jeszcze bardzo zaspana i przytomna na tyle tylko, aby całować.

Ciocia Halszka zaś mówiła, że nie mogła inaczej zrobić, tylko przyjechać, mimo oporu męża. Już tyle lat czekała na ten koniec wojny!

Spytała, czy tu na Wołyniu jeszcze się ludzą, że koniec nastąpi szybko. Na zachodzie wszyscy już wiedzą, że się zaniósł na długie lata, nikt już nawet nie wygląda końca. Więc czyż miała dopuścić, aby Renia i Ali dorastali z daleka od ojca, od jego wpływu i kierunku?

Przy końcu opowiadania ze trzy razy jeszcze spytała, czy wuj Ryszard się ludzi i czy w ogóle ktokolwiek jeszcze?

Ojciec odpowiedział, że nie, że nikt się już nie ludzi co do tego, wszyscy wiedzą, że jeszcze wiele wody upłynie, nim nastąpi pokój.

— I wiele jeszcze krwi użyźni ziemię — zakończył ojciec, a Nik pomyślał z niechęcią, że ojciec o tym tylko myśli, co użyźni ziemię, a co nie, ale kiedy spojrzał na niego, zobaczył, że usta ma zacięte i głęboki smutek w oczach. Zrozumiał, że ojcu nie chodzi o to, aby krew użyźniła ziemię.

Ciocia Halszka zmieniła się bardzo. Nie powierzchownie, była bowiem zawsze równie ładna i zgrabna, ale usposobienie jej, zachowanie, stało się zupełnie inne. Bez śladu gdzieś zniknęły znużenie i bladeść; twarz miała złotawą, żywy blask w oczach. Mówiła tak, jak i dawniej, dużo, ale zupełnie inaczej. To już nie była sprawa sukien, tańców, wyścigów. Opowiadała, że Francja tak jest niepodobna do dawnej Francji, jak zima do lata. Wszyscy tam myślą tylko o ojczyźnie. Panie nie bawią się, panowie nie grają w klubach — biją się. Wszyscy, wszyscy bez wyjątku, a panie pracują w szpitalach, kantynach, biurach. Nie ma tam teraz socjalistów ani rojalistów, ani sceptyków, ani kosmopolitów — wszyscy wierzą, kochają swój kraj i bronią się, bronią ze wszystkich sił. Zapanowała Ojczyzna.

Ale naturalnie zmiany, jakie zaszły w cioci Halszce, były niczym w porównaniu z tym, co się zrobiło z Renią i Alim.

Renia wyrosła tak, że stała się wyższa od matki, a wiotka jak trzcina. Nikt tego nie powiedział głośno, ale wszystkich olśniła jej uroda.

Szczególnie piękne stały się jej oczy szafirowe jak irysy i brwi czyste i czarne jak rozpięte skrzydła jaskółki. Jakże była śliczna od tych stóp wąskich i kształtnych, do głowy przykrytej lśniącem hełmem kruczych włosów.

Natomiast z Alego wyrosło takie jedenastoletnie chłopczysko, jakich pełno na świecie. Z ostrzyżoną głową i za długimi rękami stał się podobnym do młodego cielęcia, które co chwila gubi nogi.

Gdy chodzili naokoło kwietnika, czekając, aż wuj Miś przygotuje samochód, którym miał odwiedzić ciocię Halszkę i dzieci do Hołowina — Renia oznajmiła towarzystwu, że już od dawna nie nazywa się Renia tylko Nata. Dzisiaj, kiedy każda Irena albo zgoła Regina spieszcza swe imię na Renia, ona, Renata, żałuje swego pięknego imienia, na tak pospolite spieszczenie. We Francji wszyscy mówili do niej „mademoiselle Natha”.

Olkowi cała ta przemowa wydała się pretensjonalna. Wzruszył z lekką ramionami i oznajmił, że „co do mnie to możesz być pewną, że zawsze będę mówił: Reniu”.

— I owszem — odpowiedziała spokojnie — ale ja tego nie będę brała do siebie. To będzie miało taki skutek, jak gdybyś mówił do ściany.

I rzeczywiście, ile razy potem Olek mówił do niej — Reniu — udawała, że nie słyszy. Ostatecznie musiał kapitulować.

Dopiero wieczorem, po powrocie z Hołowina, dokąd odwiedziono ciocię Halszkę całym dworem, przypomnieli sobie chłopcy o legionście i poszli go odwiedzić.

Zajmował ostatni pokój gościnny, którego okna i drzwi wychodziły wprost do parku. Z małego ganeczku tego pokoju jednym skokiem można się było dostać między gęste krzewy.

W pokoju legionisty zastali chłopcy ojca, matkę i wuja Dymitra. Widocznie odbywała się jakaś narada i prawdopodobnie natychmiast kazano by im zawrócić tam, skąd przyszli, gdyby wuj Miś nie wstał się za nimi. Dopuszczono ich zatem do obrad, bez prawa głosu.

Ojciec właśnie mówił o tym, że właściwie nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Niżpol bowiem to taki kraj zaczarowany, gdzie nikt nie odważa się naruszać spokoju i urody życia, ani wojsko, ani policja, ani urząd żaden. Szosa o cztery kilometry, trakt również. Nawet „uradnik¹⁴” dostaje od czasu do czasu prosić po to, by nigdy nie szpecił sielskich widoków kształtem swej urzędowej czapki.

Więś? Wsi nawet nie przyjdzie do głowy interesować się nowym mieszkańcem dworu, a służba niczego podejrzanego się nie dopatrzy w nowym profesorze paniczów, którego dlatego nie biorą do wojska, że trochę kuleje.

By zaś rzeczywiście stał się w domu użytecznym, będzie chłopcom, a zwłaszcza Tomkowi dawał lekcje.

— Ja nic nie umiem — powiedział z przerażeniem legionista.

— No, coś przecież! Skończył pan gimnazjum?

— Tak, byłem na drugim kursie medycyny.

— Potrafi więc pan Toma przygotować do klasy drugiej?

— Ja panu pomogę — powiedział Olek i zaczerwienił się po uszy, bo zdanie wypadło przynajmniej o dwie oktawy wyżej, niż miał w projekcie. Zupełnie jak gdyby zapiał młody, zachrypnięty kogut.

Legionista się uśmiechnął z wdzięcznością i lekko kiwnął głową.

Ale uwaga wszystkich skupiła się na wuju Dymitrze, który zaczął mówić. Słuchając go, Olek pomyślał sobie, że oddałby swoją piątkę z historii Rosji (z czego innego nie) i czwórkę z kaligrafii za głos taki, jak wuja Dymitra. Głos, którego nie można nie słuchać albo z nim się sprzeczać. Właściwie taki głos mógłby wystarczyć zupełnie, zastąpić wszystko inne.

— Trzeba będzie jednak sfabrykować panu jakieś dokumenta¹⁵, opiewające, iż pan wolny jest od służby wojskowej — mówił wuj Dymitr — a to dlatego, żeby w razie katastrofy braterstwo moi mieli się czym zastawić. Panu w razie czego ułatwimy ucieczkę, ale tu Niżpol także nie może być narażony. Szwagier mój więc musi mieć pana papiery, podrobione, ale które z naiwną wiarą będzie przedstawiał komu trzeba, w razie jakichś kwestii, twierdząc, że nic poza tym o panu nie wiedział. Polecono mu pana na nauczyciela, odpowiednie kwalifikacje oraz papiery pan miał, więc zaangażował pana i jest niewinny jak nowo narodzone dziecko.

— Więc wszystko już omówione — rzekł ojciec — a teraz proszę nam opowiedzieć, jak to się stało, że pan zdołał uciec.

— To taka skomplikowana historia — niechętnie przerwał wuj Dymitr — czy nie można by jej odłożyć do jutra?

Ale pan Andrzej innego był zdania. Wyprostował się na łóżku i zaczął opowiadać głosem, któremu usilnie starał się nadać obojętne brzmienie.

Gdy go Niemcy wzięli do niewoli w pierwszym roku wojny, od razu wstąpił do legionów. Nie wie dlaczego, od samego początku był przekonany, że wpadnie z powrotem w rosyjskie ręce. Tak dalece był tego pewny, że gdy ranny silnie, po chwili omdlenia ocknął się między tłumem podnieconych zwycięską bitwą kozaków¹⁶, nie zdziwił się wcale, tylko wiedział już, że jest zgubiony.

¹⁴uradnik — posterunkowy. [przypis edytorski]

¹⁵dokumenta — dziś popr. forma lm: dokumenty. [przypis edytorski]

¹⁶kozacy — tu: konny oddział ros. wojska. [przypis edytorski]

Żołnierze kozacy stawili go przed swego chorążego — był nim, na domiar nieszczęścia, kolega szkolny pana Andrzeja, wiedzący aż nadto dobrze, że oto ma przed sobą poddanego rosyjskiego w służbie wrogiej armii. Długo patrzeli na siebie, obaj bladzi jak śmierć. W końcu chorąży kozacki bez słowa odesłał kolegę jeńca do pułkownika. Nie zdradził ani jednym słowem, ani ruchem, że wie, kto zaczął.

Pułkownik spieszył się bardzo, nie miał co robić z tym, jedynym zresztą po potyczce, jeńcem. Powiedział obojętnie.

— Legionista? Polak? No cóż, rozstrzelać.

Ale w sekundę potem wychylił się przez okno swej kwatery i zawołał na żołnierzy, żeby dali jeńca z powrotem.

W tej samej izbie stał wuj Dymitr, który właśnie dostał od swego dowódcy komenderówkę i miał jechać do Kijowa.

Pułkownik złościł się.

— Co ja zrobię z takim legionowym chłystkiem na wpół zdechłym, nie warto takiego rozstrzeliwać, trzeba by najpierw do szpitala jeńców. No cóż ja z nim tu zrobię?

Wtedy wuj Dymitr zaproponował, że odstawi go po drodze do najbliższego koncentracyjnego obozu.

Pułkownik ucieszył się z tej myśli. Powiedział, że da żołnierza do konwoju.

— Po drodze zostawicie go, Dymitrze Lwowiczu i kwita. Nie potrzebujecie się zatrzymywać ani chwili. Zostawicie razem z żołnierzem i koniec. A dla mnie to będzie wielka wygoda. Czy ja, oficer kozacki, mogę brać jeńców? Tysiąc razy mówiłem, do diabła, żeby rąk sobie nie obciążać takim balastem. Ja muszę iść zawsze naprzód, w pierwszej linii. Cóż to? Mam za sobą wlec obóz jeńców? Sami przyznacie, Dymitrze Lwowiczu, że branie jeńców, to nie nasza kozacka sprawa.

Wuj Dymitr przyznał, bo się bardzo śpieszył i nie chciał z pułkownikiem wszczynać dyskusji (mimo różnicy rang pułkownik wiedział, z kim ma do czynienia i odpowiednio wuja Dymitra traktował).

Żołnierz dodany do konwoju był to rośły jak dąb, a głupi jak but Wielkorus, którego nos, koloru wiśni, zdradzał niedwuznacznie pociąg do butelki.

Majstrując przy swoim aucie, wuj Dymitr przyglądał mu się spod oka, a tak był pochłonięty jakąś myślą, że o mało nie nalał wody do rezerwuaru, a benzyny do rowu. I jednak skończyło się na tym, że ogromny swój termos napełnił spirytusem zamiast wodą, a potem postawił go w głębi auta, między żołnierzem a jeńcem, mówiąc najspokojniej do żołnierza:

— Tu jest woda, gdyby jeniec zemdlął, to mu dasz pić.

Potem puścił motor w ruch, usiadł na swoim miejscu i pojechali.

Okazało się wkrótce, że termos nie był dobrze zakręcony. Przy każdym rzucie auta przezroczysty płyn spływał po skórze, a znakomicie wykwalifikowany nos żołnierza szybko wyczuł specyficzny a odurzający zapach rzekomej wody.

Żołnierz posiadał umysł dociekliwy i lubił badać przyczynę zjawisk. Zainteresował się więc żywo tym dziwnym fenomenem, który sprawił, iż źródłana woda w zetknięciu ze szkłem termosu nabrała tak sympatycznych właściwości.

Poczytał to za dowód specjalnej opieki, jaką roztacza nad nim Opatrzność, i nie zwlekając, zaczął badać, czy smak płynu odpowiada jego zapachowi. Jednym okiem patrząc na wpół omdlałego jeńca, drugim pilnie strzegąc pleców oficera, popijał palącą ciecz i wkrótce poczuł najwyraźniej, że oto jest pułkownikiem kozackim i jedzie do kwatery wielkiego księcia, by razem z nim spożyć ucztę, na cześć ostatniego zwycięstwa.

Aż wreszcie, w chwili jakiegś nateżonego ucha wuja Dymitra pochwyciło odgłos upadku termosu i potężne chrapanie żołnierskie.

Wtenczas zatrzymał automobil.

Legionista, wciśnięty w głąb auta, patrzył obojętnie na chrapiącego sąsiada i odsuwał ranną nogę od strumienia rozlanego spirytusu.

— Teraz trzeba, żeby pan uciekał — powiedział wuj Dymitr po polsku.

Legionista drgnął i spojrział z przerażeniem.

— Czy może pan iść? —

— Z trudnością. Nie. Właściwie nie mogę.

— To źle. Gdzie by tu pana ukryć?

Rozejrzeli się. Stali w pustym polu, nigdzie drzewa ani chaty, ni zboża nawet, w które zapaść by mogło umęczone ciało.

W końcu wuj Dymitr się zdecydował. Powiedział, że nie ma innej rady i kazał legionście wejść do worka i ułożyć się na dnie auta, starając się zająć jak najmniej miejsca. Przyrzucił go z wierzchu derką, szynelem, ułożył nogi śpiącego żołnierza przez wierzch tobołu.

Siadając przy korbie, mruknął przez zęby — „raz kozie śmierć” — a potem puścił auto z szybkością stu kilometrów na godzinę.

W dwadzieścia minut już był na miejscu, zatrzymał auto przed dowództwem, wpadł do izby i zaraz zaczął krzyżeć. Opowiadał z wściekłością, że żołnierz konwojujący upił się w głębi auta jak świnia (skąd do czorta nabrał spirytusu?), a jeniec skorzystał z tego i uciekł.

Klął ozdobnie i wymyślnie. Wie naturalnie, że i on jest winien, będą wiedzieli, gdzie go znaleźć, gdy przyjdzie czas odpowiedzialności, na razie ma niecierpiącą zwłoki komenderówkę do Kijowa. Żąda więc, by natychmiast zabrano spitego żołnierza i spisano protokół, nie ma bowiem ani chwili czasu do stracenia. Pokazał swą komenderówkę — dziś jeszcze przed północą musi być w Kijowie.

Potem wskoczył do auta, sam własnymi rękami wywlókl pijaka, cisnął go na ziemię, po czym zatrzaskał drzwiczki, a zdjąwszy z przedniego siedzenia pudło drewniane z oponami, postawił je na tobole w głębi.

To wszystko odbyło się błyskawicznie. Nikt nie miał czasu zorientować się, spojrzeć, coś powiedzieć (na szczęście w dowództwie w danej chwili nie było ani jednego oficera). Wuj Dymitr narobił takiego zamieszania, że wszyscy potracili głowy. Napisali, co poddyktował, zabrali żołnierza do aresztu i w pięć minut potem już auto pędziło wściekle po gładkiej i pustej szosie.

W jakimś miejscu ustronnym wydobyto legionistę na światło dzienne. Wuj Dymitr przebrał go w swój własny zapasowy mundur, napił go, odświeżył, opatrzył krwawiącą ranę, usadowił w głębi auta i znowu popędzili na łeb na szyję z wariacką szybkością.

Pod samym Kijowem wuj Dymitr miał przyjaciela — zajechał do niego w noc ciemną i zostawił legionistę na przechowanie, sam zaś ruszył do Kijowa załatwić poleczone sobie sprawy. W powrotnej drodze zabrał legionistę i przywiózł do Niżpola.

Oto była cała historia.

Nik zapytał cicho i ze wstydem:

— A żołnierz?

Wuj Dymitr spojrział na niego oczami pełnymi smutku. Powiedział:

— Ktoś musiał być ofiarą. Musiał. Żołnierzowi grozi tylko kara, nad legionistą wisiał stryżek. Tysiąc razy to przemyślałem: nie było innego wyjścia. Trzeba wybierać zawsze mniejsze zło, gdy się wybierać musi. Zresztą ja także będę odpowiadał — zakończył już zupełnie cicho.

ROZDZIAŁ X. WOJSKA IDĄ

Z początkiem września chłopcy zaczęli jeździć do gimnazjum. W dzień słoneczne bryczką, w razie deszczu wolantem. Czasami jeździli sami, dwukołową bidką, a czasem konno.

Rano wyjeżdżali przeważnie o kwadrans za późno, toteż droga nie bywała przyjemna. Pędzili na łeb na szyję, zaspani i niespokojni. Olek klął Nika, zawsze z jego winy się spóźniali, a Nik z palcami w uszach i książką na kolanach gorączkowo powtarzał lekcje.

Za to powrotna droga była jednym z ważniejszych momentów dnia.

Na tym to szlaku, szerokim i falistym, zapadały doniosłe uchwały, załatwiano osobiste porachunki, rozwiązywano zagadki bytu, decydowano o sprawach własnych, a także wszechświatowych.

Wtenczas to najpiękniejsze myśli rodziły się w Olkowej duszy, a najfantastyczniejsze projekta¹⁷ wygłaszały usta Nika, zresztą bez wyraźnego współudziału jego głowy.

Jeżeli Olek miał do Nika jakąś pretensję, to zostawiał ją na moment powrotnej drogi. Nik nie mógł się trzymać tego systemu, bowiem albo natychmiast wybuchał, nie mogąc czekać ani minuty, albo o wszystkim od razu zapominał.

¹⁷projekta — dziś popr. forma lm: projekty. [przypis edytorski]

Dlatego Olek twierdził, że Nik nigdy nie potrafi systematycznie ułożyć sobie życia. Ale cóż z tego? Czy to przekonanie dawało mu jaką przewagę nad Nikiem? Wcale nie, bo przecież Nik nie dbał ani o systematyczność, ani o życie.

Nauka połączona z codzienną jazdą do Żytomierza pochłaniała chłopcom tyle czasu, że już na nic innego nie stało go. Toteż od chwili rozpoczęcia szkół w domu zapanowali Marta, Tom i Ania.

To ich czas się zaczął.

Od rana do wieczora dom rozbrzmiewał gamami Marty, deklinacjami Toma, alfabetem i piosenkami Ani. Wszystkie sprawy, jakie się działy, oni rozpoczynali. To Marty był projekt, ażeby dzieci uciekinierów z Królestwa, którzy zamieszkiwali kilka czworaków, uczyć i ubierać. Marta bowiem ciągle bolała nad tym, że testament pradziada dotychczas nie mógł być wykonany. Wojna bowiem przerwała proces i las na Hajwie ciągle jeszcze był w rękach rządu¹⁸.

Teraz więc dla dzieci tych przeznaczono pokoje w oficynie i tam to ubierano, karmiono i uczono kilkanaścioro zabiedzonych bębnów, a czynnościom tym z pasją oddawali się kolejno wszyscy mieszkańcy dworu.

Niania ręce łamała nad wypróżnionymi do cna skrzyniami z bielizną i wszelakim przyodziewkiem. I zupełnie nadaremno starała się przekonać panią Charłęską, że bielizna oraz sukienki, z których wyrosła Marta, doskonale się przydadzą za lat kilka Ani, a przyobleczenie Olka i Nika służyć będzie mogło Tomkowi.

— Kto wie, co to jeszcze będzie, proszę jaśnie pani — mówiła — może przyjdzie taka gorsza jeszcze wojna, że ani się niczego dokupić nie będzie można! A tu w domu nie zostanie ani kawałka płótna! Czy to chłopskim dzieciom potrzebna bielizna na zmianę? Im to wszystko jedno, byle miały co zjeść, a bez majtek to im nawet przestronniej!

Ale pani Charłęska nie dała się naprowadzić na drogę rozsądku i oszczędności. Do ostatka wydała między dzieci wygnańców tak pieczołowicie dotąd przechowywaną odzież. Powiedziała obojętnie:

— Moja nianiu, będzie, co Bóg da, a tymczasem jak tu pozwolić, aby małe dzieci ginęły w brudzie i łachmanach. Niania sama na pewno nie mogłaby na to patrzeć!

Niania jednakże powiedziała stanowczo, że owszem, mogłaby patrzeć. A potem dostała migreny i przywiązała sobie dwa plasterki cytryny na skroniach ręcznikiem.

Naturalnie nikt Marcie nie odbierał jej projektu, a tylko wszyscy ochotnie przyłączyli się do dzieła. Toteż Marta zrobiła się bardzo ważną osobą. Ona decydowała o wszystkim i ona rządziła ochroną, naturalnie radząc się i pytając o wszystko matkę.

Tom natomiast odznaczył się w innej dziedzinie mniej filantropijnej. — Zaproponował mianowicie gazetę. To odbywało się tak, że każdy, kto miał coś do powiedzenia, pisał to wierszem lub prozą, w formie artykułu czy anegdoty i składał swój utwór w bibliotece do teczeki.

Co dzień wieczorem pan Andrzej zbierał rękopisy, układał je w gazetę, którą przepisywał na maszynie. W niedzielę po południu odczytywano głośno gazetę wszystkim zebranym.

I Ania w tym czasie zdobyła sobie rozgłos, wypadając z łódki do jeziora. Panna Maria wyłowila ją wprawdzie natychmiast, ale Ania już była sławna.

Opowiadała wszystkim swoje przeżycia i twierdziła stanowczo, że właściwie już utonęła, umarła formalnie i tylko cudem wróciła do życia. Napawało ją to dumą i poczuciem wyższości ponad inne, zwyczajnie żyjące osoby.

Czasem próbowała opowiadać coś na temat tej krótkiej chwili pobytu na tamtym świecie, ale fantazja ta spotykała się zwykle ze sceptyczną niewiarą, a nawet drwinami. Ludzie nie lubią, jak się im mówi o rzeczach, których nie są w stanie sprawdzić!

Wobec tych wszystkich doniosłych spraw cóż znaczyli Olek i Nik, którzy na nic nie mieli czasu i których nigdy nie było w domu w najważniejszych chwilach.

Samą siłą rzeczy pan Andrzej przestał do nich należeć, a stał się wyłączną własnością Marty i Toma.

¹⁸las na Hajwie ciągle jeszcze był w rękach rządu — sprawa opisana w poprzedniej części powieści, p.t. *Skarby*. [przypis edytorski]

Im dawał lekcje, z nimi chodził na spacer, dla nich zbierał owady i rośliny. A Olek i Nik nie mogli sobie nawet pozwolić na przyjemność okazania Marcie i Tomowi, że wiedzą o ich panu Andrzeju coś, o czym się im nawet nie śni.

Tysiąc razy Nik doprowadzony do ostateczności fanfaronadą Toma, który po prostu afiszował się posiadaniem pana Andrzeja, miał na końcu języka efektowne zdanie:

— Gdybyś wiedział o nim to, co ja wiem, nie byłbyś taki głupi! — zawsze jednak powstrzymywał się w ostatniej chwili, pomny na dane słowo, i zadawał się spojrzeniem pełnym dumy, a tak chybiającym celu! Bo przecież Tomek nie mógł się nawet domyślać.

W tym czasie można było zupełnie zapomnieć o wojnie, gdyby nie niepokój o wuja Dimitra, który był teraz na samym froncie, ciągle narażony na niebezpieczeństwo.

Bo dawno już wuj Miś przestał być żołnierzem szoferującym na własnej maszynie. Od dłuższego czasu był adiutantem pułkownika Wołkońskiego, kolegi i dawnego przyjaciela swego ojca.

Było więc w owym czasie zupełnie w Niżpolu cicho i tak jak zawsze. A była już jesień. W polu lokomobila młociła ostatnie owsy, napełniając powietrze miarowym, pracowitym echem. Orano ziemię czarną, a skiby przewracały się ostrymi liniami na złote pola rżyska. A potem zaczęło się rwanie chmielu, pachnące, wesołe, gadatliwe, rwanie, od którego plantacje ożyły na krótką, bardzo krótką chwilę, zanim zapadły w zimną martwość odartych i zdeptanych łądóg, rozrzuconych bezładnie po twardych, głębokich zagonach.

Któregoś dnia Olek i Nik wrócili z Żytomierza w stanie wielkiego podniecenia. Jeszcze z bryczki wołali, że przez Niżpol będzie szło wojsko. Wszędzie, od samego miasta naprawiają drogę chłopcy i żołnierze. Podobno będą także wieźli armaty. Masa wojska idzie również szosą.

Przez cały obiad chłopcy rozprawiali na ten temat, a po obiedzie wszyscy poszli do bramy zobaczyć, jak ta gromadna praca wygląda.

Rzeczywiście, cała droga usiana była ludźmi uzbrojonymi w łopaty, motyki i grabie.

Tak trwało aż do wieczora, a potem wszyscy się rozeszli i powrócił dawny spokój.

Tom twierdził zresztą, że nic z tych przygotowań nie wyniknie. Dlaczego wojska raptem miałyby iść przez Niżpol? Nigdy nie szły, a teraz raptem? Zresztą wojsko nie chodzi, tylko jeździ pociągami.

— No więc na cóż by poprawiali drogę? — powiedział Nik z irytacją.

— Bo myśleli przez chwilę, że tędy pójda, ale na pewno się rozmyślili. Będą woleli pójść traktem przez Wilsk albo może szosą na Czerniachów.

— Gdyby mieli rozum, to by poszli na Niżpol — powiedział Nik z głębokim przekonaniem.

Jednakże nazajutrz nie okazali rozumu ani dnia następnego rano i po obiedzie, jak zwykle, Tom i Marta poszli z panem Andrzejem na spacer do lasu.

Mimo próśb Tomka, pan Andrzej nie chciał iść traktem, tylko przez folwark, połą drogą, wprost do lasu.

Było takie jedno ulubione miejsce, gdzie chodzili najchętniej, na skraju lasu, na wysokiej grobli. Dawniej grobla ta wznosiła się między dwoma stawami, dziś słały się tylko po jej stronach dwie wilgotne, bujne łąki.

A na grobli rosły stare płaczące wierzby, jak srebrzyste fontanny. Najmilej było położyć się u ich stóp na trawie i patrzeć na szmaragdową zielen łąk, na dalekie, faliste pola, na Niżpol, widniejący ciemną masą zwartych drzew i plamami czerwonych dachów, na wieś i drogę.

A teraz ściana lasu już się złociła i błyskała czerwienią, a trawa łąk tym więcej szmaragdową się zdawała.

Właściwie można było nawet już nic nie mówić, tyle głosów płynęło z niewysłowionego piękna tego, co ogarniały oczy.

— Ja sobie w tym miejscu postawię dom — powiedziała Marta, układając wokoło siebie uzbierane w lesie, czerwone i złote liście.

Tom wzruszył ramionami. Powiedział, że to niepraktycznie tak daleko mieszkać od folwarku.

— Wyobrażam sobie, co by się tam działo! Jeśli się chce dobrze gospodarować, to się musi mieszkać blisko — powiedział. — A zresztą nie wybudujesz sobie domu ani tu, ani nigdzie, bo Niżpol będzie należał do Olka i koniec.

Kobieta, Mężczyzna, Córka,
Syn, Dziedzictwo, Obyczaje,
Mizoginia

Marta zdziwiła się bardzo — popatrzała na Tomka jak na wariata i otworzyła usta, żeby się o coś zapytać, ale nie wiedziała, o co właściwie chodzi. Jak to do Olka? Naturalnie, że do Olka tak jak i do wszystkich! Ale cóż z tego? W końcu rzekła:

— Do Olka i do rodziców, i do nas wszystkich. Dlaczegoż więc ja nie będę mogła sobie domu postawić, gdzie mi się będzie podobało, jeśli rodzice pozwolą?

— Śmieszna jesteś — powiedział Tom. — Właśnie, że potem, jak będziemy dorośli, to Niżpol będzie tylko do Olka należał, a my wszyscy będziemy musieli się wyprowadzić. Nik dostanie Ostepowce (choć mówi, że nie chce, bo sobie pojedzie w świat, na morze), a ja pewnie Fermę. A wy, baby, nie dostaniecie ziemi i pójdziecie sobie mieszkać do swoich mężów.

Panu Andrzejowi nie podobała się ta rozmowa. Powiedział, że nie warto mówić o rzeczach, które albo będą, albo nie będą, a tak są jeszcze dalekie.

I chciał zacząć opowiadać o ptakach, ale raptem Tom skoczył na równe nogi i palcem wskazując na drogę, wykrzyknął:

— A przez ten czas wojsko idzie!

Droga wyglądała rzeczywiście jak szlak mrówczy. Ciemna i ruchliwa. Kurz wznosił się ponad nią równym słupem. Dolatywały krzyki i wołania. Między oddzielnymi grupami nieuszeregowanych, bezładnie idących żołnierzy, jechali na koniach oficerowie, okryci kurzem i ospali. Właściwie wszystko to razem nie wyglądało na pochód wojsk, tylko na jakąś wędrowną jednakowo ubranych, sfatygowanych do ostatka, bezradnych ludzi.

— Chodźmy zobaczyć z bliska — zawołał Tom, zbiegając z grobli.

Ale pan Andrzej nie tylko nie zbiegł za nim, lecz głosem stanowczym przywołał go z powrotem na górę.

Tom się zirytował:

— Dlaczego pan nie chce, żebyśmy poszli zobaczyć? Cóż to złego? Przecież musimy się dowiedzieć, co to za pułki i czy będą wieźli armaty!

Pan Andrzej nic nie odpowiedział. Stał nieruchomo z rękami w kieszeniach i patrzył na drogę.

Marta rzekła cichutko:

— Pewnie dlatego nie chce, że to jest wojsko rosyjskie, więc nie powinno nas obchodzić.

Nauczyciel posłyszał to zdanie i potrząsnął przecząco głową.

Powiedział, że w tej chwili to wszystko jedno, czy to są Rosjanie czy Polacy.

To są obrońcy Ojczyzny.

ROZDZIAŁ XI. O TYM, JAK MOŻNA NAPOTKAĆ W LESIE TO, CZEGO SIĘ UNIKAŁO NA TRAKCIE

I mimo nalegań Tomka nie zgodził się wyjść na gościniec, aby przyjrzeć się wojsku z bliska.

Nie i nie. Do domu.

Zawrócił w głąb lasu, by wyjść wprost na polną drogę, a za nim, chcąc nie chcąc, powlekli się Marta i Tom, wściekły i niewymownie obrażony.

Do rozpaczki doprowadzała go myśl, że właśnie o tej porze Olek i Nik, wracając z Żytomierza, napotkają wojsko i będą je mogli obejrzeć najdokładniej.

W tej chwili zniechęcił pana Andrzeja. Z pasją gryząc w zębach pręt leszczynowy, myślał o tym, że on, pan Andrzej, nie ma żadnego prawa nie chcieć pójść zobaczyć wojska, a w dodatku nie wytłumaczyć dlaczego. Powinno być takie prawo, żeby każdy starszy, a nawet zupełnie stary, musiał zawsze mówić, dlaczego zabrania. Tom przypomniał sobie wprawdzie, że rodzice często wydali jakiś zakaz, nie tłumacząc się z niego dzieciom, ale to zupełnie co innego. Rodzice to nie są zwyczajni starsi, im wszystko wolno, bo na pewno jeśli coś zabraniają, to nie na złość dzieciom, ani na ich szkodę! A taki pan Andrzej co to można wiedzieć! Może coś zabronić po prostu dlatego, że mu się tak podoba!

Tom przysięgł sobie, że już nigdy nie przemówi do niego, chyba z konieczności.

Marta natomiast, korzystając z wrogiego milczenia Toma, paplała jak najęta, zasypując pana Andrzeja tysiącem zupełnie niepotrzebnych pytań.

Niepodobna nigdy przewidzieć, o co się zapyta dziewczyna w chwili, gdy jej się chce gadać. Gotowa jest nawet okazać zdziwienie, że szyszka spada z drzewa na ziemię, zamiast

lecieć w powietrze. Byle mówić. Tyle czyniła gwaru wokoło siebie, że wcale słyhać nie było, iż połą drogą pod lasem idą konie, i dopiero natknąwszy się oko w oko z oddziałkiem, pan Andrzej zrozumiał, że to, czego chciał uniknąć na trakcie, oczekiwało na niego pod lasem.

Tom co prawda od dłuższej już chwili obserwował migające za drzewami cienie i chwycił uchem chrzęst kopyt po piasku, nic jednak nie mówił w nadziei, że to sam Pan Bóg zsyła na pana Andrzeja karę za jego niczym nieumotywowany upór.

Już to samo, że jakiś oddziałek dostał się na tę boczną, prywatną drogę, było rzeczą dziwną, ale zdarzenie okazało się już zupełnie zdumiewające, gdy oficer jadący przodem spojrzawszy bacznie na pana Andrzeja i zawołał wesoło po rosyjsku:

— Toż to chyba Andrzej Władysławowicz! Jak się masz kolego! A to dopiero niespodzianka!

Tom, który nie lubił sentymentalizmu, zauważył z niesmakiem, że widok „kolegi” zrobił na jego nauczycielu wręcz piorunujące wrażenie.

Zbladł jak ściana i stanął pośrodku drogi nagle skamieniały. Potem zrobił ruch taki, jak gdyby chciał zapaść w las z powrotem. Opanował się jednak w końcu i nawet zrobił krok naprzód ku oficerowi.

Tamten, wydawszy swój powitalny okrzyk, zeskoczył z konia i już chciał wziąć kolegę w ramiona, gdy spostrzegł nienaturalne jego zachowanie się.

Wówczas twarz mu się ściągnęła, a ruchy i słowa stały się oględne i baczne.

Wszystko to trwało kilka sekund, było jednak nad wyraz przykre, a i dalszy ciąg powitań i rozmowy nie zatarł wrażenia pierwszych chwil.

Z nienaturalnym, choć uprzejmym uśmiechem pytał pan Andrzej oficera, jakim to sposobem znaleźli się tu, na tej bocznej drodze i z roztargnieniem słuchał zawilej opowieści o przemarszach, postojach, liniach kolejowych, rozkazach.

Tom oka nie spuszczał z oficera i jego towarzysza, który również zsiadł z konia i przyłączył się do rozmowy, i myślał o tym, że wszyscy oficerowie rosyjscy są jakoś do siebie podobni, a takich jak ci oto, widział już kiedyś na pewno. Ten wyższy, podobny do orła, a ten niższy kolega do rysia czy żbika. Na pewno tymi białymi zębami lubiłby rwać żywe mięso.

Powiedział o tym Marcie po cichu.

Tymczasem żbik wypytywał pana Andrzeja, co tu robi i skąd się wziął. Był przecież w wojsku, czy nie tak?

— Tak, tak — pośpiesznie odpowiedział pan Andrzej. — Pułk mój został rozbity w Galicji Wschodniej — oficer kiwnął głową na znak, że wie — a ja zostałem ranny w nogę i uznany za niezdarnego do służby.

Oficer nic nie odpowiedział, tylko zamyslił się.

Natomiast towarzysz jego jął pytać, czy nie można by we wsi tej, do której się zbliżają, dostać szklanki mleka. Są bardzo zmęczeni i spragnieni.

— Oto są dzieci właścicieli Niżpola — rzekł pan Andrzej, wskazując Toma i Martę, która natychmiast powiedziała uprzejmie:

— Moim rodzicom będzie bardzo przyjemnie, jeśli panowie zechcą zjechać.

A potem zaczerwieniła się strasznie, bo przypomniała sobie, że progu niżpolskiego domu nie przekroczył jeszcze żaden Rosjanin.

Ale już było za późno, oficer z twarzą orlą uśmiechnął się w sposób nadzwyczaj powabny i powiedział miękko.

— Dziękuję.

A przez ten czas żbik zamęczał pana Andrzeja niekończącą się litanią pytań. O pułk, o szpital, o ranę, o wspólnych znajomych wojskowych. Już było wyraźnie widać, że coś określonego ma na myśli i to zbadać pragnie.

Pan Andrzej odpowiadał niedbale, ale jakoś zbyt obficie. Płatał słowa, zapominał dat, nie umiał nazwać znajomych, a raz wraz przymykał oczy, by utaić w nich błysk gniewu. Słowa niespodziewanie mnożyły się w jego milczących zazwyczaj ustach, toteż Tom przyglądał mu się w zdumieniu i trącał Martę, która wszelako na nic nie zwracała uwagi.

Całą jej myśl zajęło trwożne pytanie, czy jednak rodzice zechcą uznać jej zaprosiny i wpuszczą do domu rosyjskich oficerów.

„Co to będzie, jeśli nie zechcą” — myślała z rozpaczą. Nie dbała zresztą zupełnie o agresywnego kolegę pana Andrzeja, ale myśl, że podobny despekt mógłby spotkać tego drugiego, o oczach tak bezmiernie smutnych — napełniła ją rozpaczą.

Ale gdy minęli bramę i zobaczyła z daleka matkę, stojącą z ogrodnikiem przy różach, uspokoiła się zupełnie. Wszystkie okna jej domu były szeroko otwarte, a matka stała na trawniku i prawdopodobnie mówiła Wincentemu, że róże są źle podcinane! Tyle lat Wincenty był przy ogrodniku, a nie nauczył się utrzymywać w porządku róż! I mszyce, i liszki, i zwiędłe na łodydze kwiaty!

Marta czuła już teraz, że dom jej o rozwartych oknach i matka energiczna i pogodna, rozmawiająca z ogrodnikiem, nie mogą zachować się niegościnnie nawet względem rosyjskich oficerów i już zupełnie odważnie prowadziła swych gości pod filary.

Zaraz ich też skierowano do gościnnych pokoi, by się otrzepali i ręce omyli z kurzu.

Tymczasem zaś matka dała Marcie klucze i kazała jej przygotować do podwieczorku.

Marta wzięła Hawryłka z tacą do spiżarni, a Filipkowi poleciła przynieść z lodowni masło, ser i śmietankę.

Odkąd Łukasz i Sławian byli na wojnie, trzeba było samej chodzić do spiżarni, bo chłopcy kredensowi umieli tylko wydłubywać rodzynki z bułek i łasować słodycze.

W spiżarni pachniało miodem i świeżo upieczonym chlebem. Marta napełniła koszyki plackami, ślicznie, cieniutko pokrajała czarny, wonny chleb, nalala złotego miodu do kryształowych czarek.

Przez ten czas Hawryłko udzielał jej skromnych rad.

— Gdyby panienka więcej przechyliła nóż, to chleb byłby cieńszy.

— Co ty pleciesz? Mój Hawryłku, właśnie trzeba trzymać bardzo równo.

— Ja, to bym poprosił panienkę, żeby panienka powiedziała jaśnie pani, że wcale nie potrzeba, żeby Wincenty spał za kredensem. Niechby nam tylko jaśnie pan dał liworwery, a już Filip i ja nikogo nie wpuścimy do domu. Żeby nie wiem jaki złodziej przyszedł, to my jego po mordzie i won.

— A umiecie wy strzelać? — spytała Marta, układając renklody na paterze.

— Filip to on nie umie, ale jego by stróż nauczył. A ja to nawet, że tamtego roku zabił jednego kota, bo taki był cholera, że nic, tylko kurczęta malusieńkie dusił.

Wyprawiwszy Michałkę z tacą na taras, gdzie zwykle jadano podwieczorki, Marta wyjrzała przez okno spiżarni i oczom jej przedstawił się haniebny widok. Oto Filipek kroczył wolno drogą od lodowni, dzierżąc na tacy dzbanuszki ze śmietanką. Młody ten nicpoń raz wraz pochylał kędzierzawą głowę i bezwstydnie czerwonym jęzorem zlizywał spływającą po brzegach dzbanków śmietankę.

— Filip! Co ty robisz! — wrzasnęła groźnie Marta, a okrzyk ten tak wstrząsnął nerwami złoczyńcy, że oba garnuszki momentalnie znalazły się na ziemi, w kałużach kremowego płynu.

Umywszy ręce i zdjawszy fartuszek, Marta poszła na taras. Właśnie siadano do podwieczorku. Oficerowie po obu stronach matki. Na białym obrusie czerwone i białe róże mieniły się w kryształowych wazonach. Wszystko było nad wyraz śliczne; złoty miód pachnący i chleb czarny w srebrnych koszykach, i owoce soczyste a barwne. Marta widziała, że oczy wysokiego oficera przesuwają się po stole, uważne i smutne, i jakby stęsknione.

„On pewnie ciągle w okopach, w błocie, kurzu, dymie, w huku i chaosie — to dlatego...” — pomyślała Marta i było jej niezmiernie przyjemnie, że tak starannie i pięknie stół przygotowała.

Ale ten mały, czarny oficer zachowywał się wręcz nieznośnie.

Przed wszystkim oka nie spuszczał z pana Andrzeja. Daremnie matka podsuwała mu ciastka z najczarowniejszym ze swych uśmiechów, daremnie ojciec opowiadał o koniach, stadninie, wyścigach, polowaniu *par force*. Daremnie towarzysz jego marszczył brwi i usilnie wciągał „Sieriożę” do rozmowy prowadzonej u szczytu stołu. Ów z widocznym zamiarem i postanowieniem wciąż zwracał się do siedzącego między chłopcami pana Andrzeja i coraz to rzucał mu jakieś pytanie szpiegowskie, chytre a podstępne.

Gdy wstano od stołu, natychmiast wciągnął swą ofiarę w róg tarasu, między kwitnące oleandry i trzymając go za guzik, znowu opowiadał, ale najwyraźniej tylko po to, by mieć okazję do pytań. I pytał.

Zaś starszy oficer poprosił ojca o pozwolenie obejrzenia pięknych obrazów w salonie i weszli obaj do chłodnej sali, a za nimi Marta, przy ojcu.

Idąc od obrazu do obrazu oficer przyglądał się im bacznie, mówiąc przyjemne słowa o ich wartości i pięknie. Aż w jakiejś chwili spojrzął przez okno na taras i rzekł z zakłopotanym uśmiechem:

— Doprawdy, jeśli pan nie wybawi tego biednego profesora z objęć mego kolegi, gotów go zadreńczyć na śmierć.

A w tej samej właśnie chwili przez otwarte okno wpadło do sali nowe pytanie:

— Jakże to, jakże? To ty Andrei byłeś w szpitalu tatianowskim w Kijowie, a nie znasz doktora Iwanowa? To niemożliwe! A o tobie chodziły słuchy, że ty w niewolę popadł jeszcze w piętnastym roku!

Ojciec zbladł, pochwycił Martę za rękę, wyszedł z nią do gabinetu i tam, za drzwiami, powiedział do niej rozkazującym szeptem:

— Wyjdź natychmiast z którymkolwiek z chłopców do parku i zawołaj pana Andrzeja. Gdy przyjdzie, zaprowadźcie go, ani chwili nie zwlekając, do groty i spuście w przepok. Potem starannie nakryjcie płytę. Powiedzcie mu, żeby siedział cicho, aż dopóki ja sam nie przyjdę po niego. Niech nie waży się ruszyć. Wróćcie naokoło, nie spiesząc się, przez plac tenisowy. Spokojnie. Idź natychmiast.

Coś tak ważnego było w głosie ojca, że Marta, nie pytając o nic, strwożona, ruszyła natychmiast wykonać zlecenie. Szybko minęła salon, przemierzyła jego błyszczącą posadzkę pewnie, bez wahania. Dopiero w przedpokoju dotarł do jej świadomości widok oficera — że stał przy stole z głową pochyloną i palcami gładził zamszową okładkę *Króla Duchy*.

Z sieni już pędem wybiegła na ganek i tu na schodach nawinął jej się Tom, chwycił go za rękę i ciągnąc, oghupiałego ze zdumienia, za sobą, galopem okrążyła dom.

Biegając, rzuciła zaczynającemu już protestować przeciw napaści Tomkowi:

— Papuś kazał. Nic się dziw, tylko na miły Bóg, rób to co ja. Potem ci opowiem. Dość, że jest wielkie niebezpieczeństwo.

Za drzewami w alei stanęła, zacerpnęła powietrza i głosem czystym i donośnym zawołała:

— Panie Andrzeju!

— Czego chcesz, Marto? — zapytał z tarasu.

— Proszę tu przyjść na chwileczkę — odrzyknęła, wysuwając głowę z gałęzi.

I struchlała — oto po stopniach tarasu schodził pan Andrzej, a za nim krok w krok — oficer.

Nim jednak stanęli na ziemi, z tarasu zawołano go z powrotem. Towarzysz jego, stojąc w drzwiach salonu, wołał z uśmiechem:

— Chodź no tu, Sierioża, zobacz, jak przesłiczne kindżały ma August Aleksandrowicz.

Oficer zawahał się, chwilę postął na stopniach, ale pan Andrzej nie czekał na niego i szedł szybko wprost do Marty.

Zaledwie stanął przy niej, uchwycił go za rękę, Tom, wierny instrukcjom, za drugą i szybko pomknęli w głąb parku.

Dopiero po chwili pan Andrzej zapytał z trudem:

— Czego chciałaś, Marto?

— To nie ja, to papo kazał zaprowadzić pana i schować w grocie. I żeby pan za nic na świecie nie wychodził, choćby pana wołano po tysiąc razy. Dopiero jak papo albo które z nas przyjdzie po pana.

— Czyż w grocie mnie nie znajdą? — zapytał legionista, a Marta zauważyła, że w tej chwili wyglądał nie jak mężczyzna, a jak chore, zmęczone dziecko.

— W grocie by znaleźli — powiedział Tom — ale jest przecież przepok, a pan go nie zna, bo w ogóle o tym nie wolno mówić. Papo zabronił raz na zawsze.

Weszli do groty.

— O, niech pan patrzy — powiedział Tom — ta płyta się podnosi. Ale, psia kość, czymże ją podniesiemy? — krzyknął nagle.

Nie namyślał się ani sekundy, krzyknął — „za minutę wrócę” — i wyleciał pędem. Gnał galopem, nie dotykając ziemi, aż powietrze świstało mu w uszach, a włosy roztrzęły się jak kopica siana. Jak huragan wpadł do szopy narzędzi ogrodniczych, porwał dwie łopaty, ku zdumieniu Wincentego, i nie upłynęła minuta, gdy był już z powrotem w grocie.

Wspólnym wysiłkiem podważono płytę i usunięto ją na bok.

— Teraz niech pan zeskoczy w dół — powiedział Tom, gdy odłoniło się czarne wnętrze. Wcale nie jest wysoko, trochę więcej niż na wysokość człowieka.

Pan Andrzej nie wahał się ani chwili — siadł na krawędzi kamiennej podłogi grotu i nogi spuścił w dół. Na chwilę jeszcze podniósł głowę i powiedział z uśmiechem.

— To jest zupełnie jak grób.

— Ale to nie jest grób — żywo krzyknęła Marta — zwyczajny sobie przekop. Tysiąc razy już tam schodziliśmy i wracaliśmy z powrotem. Tam są dwa korytarze, jeden prowadzi do rzeczki, a drugi do zamku Kamienieckiego. Czy pan ma zapalki?

— Nie.

— To ja postaram się panu przynieść. I świecę. Jeśli papo pozwoli. Proszę się nic nie bać, mój drogi panie, my pana na pewno nie damy — zakończyła ze łzami w głosie Marta.

Uśmiechnął się jeszcze raz do niej, powiedział — „do widzenia, moi mili” — i rękami uchwyciwszy krawędź, spuścił się w dół. Potem ręce puściły krawędź — skoczył.

— Nic się panu nie stało? — krzyknęła razem Marta i Tom¹⁹, klęcząc nad brzegiem piwnicy.

— Nic — odpowiedział — bardzo mi tu dobrze.

— Rzucam panu kurtkę Toma, żeby pan miał na czym siedzieć, bo tam wilgotno. Jemu i tak za gorąco. Do widzenia.

Zakryli szczelnie otwór płytą, potem narzucili jeszcze zeschniętych liści i piasku, aż wyszli z grotu zmęczeni duchowo i jacyś roztrzęsieni.

Wrócili powolutku, krok za krokiem, lipową aleją. Rdzawe, zeschnięte liście szeleściły jesiennie pod nogami.

W parku było gorąco i cicho. Fioletowe cienie kładły się szerokimi plamami na trawniki i aleje. Zza muru szedł duszny zapach wędnących łądek chmielu.

— Teraz mi wytłumacz — powiedział Tom — dlaczego musieliśmy to zrobić?

— Bo papo zawołał mnie i kazał, żebym ja z którymkolwiek z chłopców natychmiast schowała pana Andrzeja do przekopu i kazała mu tam siedzieć cicho, i ażebyśmy wrócili powoli i spokojnie, nic nikomu nie mówiąc o tym.

— To wiem — powiedział pogardliwie Tom, którego dotknęło „z którymkolwiek z chłopców”, myślał bowiem, że to on, specjalnie, był powołany do spełnienia czynu. — To wiem przecież, ale dlaczego kazał?

— Czy ja wiem? — odparła z zakłopotaniem Marta — może dlatego, że ten oficer... to jest, że tamten mu powiedział... Doprawdy nie mam pojęcia! — wyznała ze wstydem.

— To dlaczego powiedziałaś „jest wielkie niebezpieczeństwo” — nieubłaganie indagował Tom.

— Bo mi się tak zdawało — jęknęła zrozpaczona Marta. — A zresztą zobaczysz, to się wyjaśni. Że było naprawdę wielkie niebezpieczeństwo, a myśmy go wyratowali.

— Niech i tak będzie — zgodził się Tom, którego ambicji pochlebiali to przypuszczenie. — Ale ty jesteś baba. To nie ma dwóch zdań! Nic nie wiesz i robisz na ślepo. I w dodatku o mało się nie rozbeczałaś!

Ale nie rozwodził się dłużej nad tym tematem, bo i jemu przykre było wspomnienie chwili, gdy nakrywali pana Andrzeja kamienną płytą.

ROZDZIAŁ XII. „MOŻE WŁAŚNIE DLA WASZEJ”

Usiedli przy placu tenisowym i czekali, sami nie wiedząc czego. Ot tak, aby czas minął.

Tu ich znalazł Nik, wysłany na poszukiwania.

— Co tu robicie? — zapytał ze zdumieniem, spoglądając na dwa osowiałe osobniki tkwiące w karygodnej beczynności na sędziowskiej ławce.

¹⁹krzyknęła razem Marta i Tom — dziś popr.: krzyknęli razem (...). [przypis edytorski]

— Siedzimy sobie — odpowiedział z westchnieniem Tom.

To było coś zupełnie niepraktykowanego.

— Gdzie pan Andrzej? — zapytał Nik.

Marta i Tom popatrzeni na siebie. Była to rzecz możliwa nie powiedzieć Nikowi, Nikowi — co zrobili z panem Andrzejem?

Ale przypomnieli sobie w porę „ani słowa nikomu”.

Marta pochylała się nad trawą i coś zaczęła w niej pilnie szukać. Nie! Stanowczo nie może skłamać przed Nikiem, nie może powiedzieć mu nieprawdy — to byłoby złamanie jakiejś milczącej, a pradawnej braterskiej umowy.

Tomek zaś powiedział mężnie:

— Nie wiemy, gdzie jest. Poszedł na spacer.

Nik nie pytał więcej. Przez chwilę przyglądał mu się bacznie, a potem zamyślił się na sekundę. — No! Skoro nie mówią, to znaczy, że nie mogą — zdecydował i dodał głośno:

— Chodźcie do domu, bo oni już jadą i chcą się pożegnać. Powiecie im właśnie, że pan Andrzej poszedł na spacer.

Gdy przechodzili pod otwartymi oknami gabinetu, posłyszeli głos oficera, który mówił wyraźnym, zirytowanym szeptem:

— Tego nie można puścić płazem. To jest czas wojny. Ty, Lew, nie baw się w neutralność i szlachetność. Ty mi nie mów o gościnności, o żadnych takich! Przede wszystkim obowiązek względem ojczyzny i ja tę sprawę muszę wyjaśnić!

Umilkł na widok wchodzących dzieci. Oprócz nich nikogo nie było w pokoju.

Oficer poskoczył spod okna na środek komnaty. Był czerwony i świecący. Zapytał gwałtownie:

— A Andrzej Władysławowicz?

— Jaki Władysławowicz? — zapytał naiwnie Tom.

— No, wasz „pan Andrzej”!

— Nie wiem, gdzie jest — uśmiechnął się Tomek spokojnie, pełen tajemnej rozkoszy.

— Jak to nie wiesz? — powiedział oficer ostro. — Poszedł z wami.

— Właśnie. I owszem — przytwardził Tom z naturalnością i wdziękiem dwuletniego dziecka. — Ale potem myśmy wrócili, a on powiedział, że musi pójść z wizytą do Bezogonka. I poszedł. A myśmy wrócili — skonstatował raz jeszcze z przekonaniem, tak, jak gdyby to właśnie było kwestią sporną.

— Bezogonka? Co to jest Bezogonka! — krzyknął, ledwo panując nad sobą, oficer.

— To jest zajac — objaśnił Nik, wsuwając się między wojskowych a Toma. — On mieszka w leśniczówce, u gajowego, który go sobie oswoił i trzyma go w chlewiku. A pan Andrzej stara się go namówić, tego gajowego, żeby wypuścił go na wolność, tego zajacę, rozumie się. Bo przecież każdy rozumie, że zajacowi lepiej w lesie niż w chlewiku. Zupełnie osowiał — dokończył Nik z taką miną, jak gdyby stan duchowy zajacę był w danej chwili sprawą najważniejszą.

Oficer chwilę zbierał myśli, nie mogąc skombinować, w jakim stosunku stoi ów Bezogonek do gajowego, a gajowy do pana Andrzeja.

Ale nagle rozjaśniło mu się w głowie. Jak żbik skoczył na swego kolegę i schwycał go za ramiona, wrzasnął mu w samą twarz.

— Udrał²⁰! Nie mówił ja²¹? Po prostu udrał! Ot, masz twoją „wdzięczność i gościnność”. Po prostu przechowują dezerterów i „szpionów²²”!

— Kto przechowuje dezerterów? — zapytał nagle jakiś głos od drzwi.

Wszyscy obrócili się gwałtownie.

We drzwiach od sieni stał wysoki, rosły oficer o twarzy szerokiej i wygolonej.

Obaj oficerowie wyprężyli się służbiście w wojskowym ukłonie.

Przybysz wszedł do gabinetu i objąwszy spojrzeniem obecnych, skłonił się Marcie:

Zapytał po francusku:

— Czy mogę się widzieć z panem Augustem Charłęskim?

— Zaraz pójde po papę — powiedziała Marta, ale nie potrzebowała iść, bo właśnie w tej chwili weszli do pokoju rodzice.

²⁰udrać (z ros.) — czmychnąć; uciec. [przypis edytorski]

²¹nie mówił ja — ros. szyk zdania. [przypis edytorski]

²²szpion — szpieg. [przypis edytorski]

Oficer skłonił się po raz wtóry.

— Jestem pułkownik Wołkoński — powiedział.

— Ach — zawołał żywo ojciec. — Naszego Dymitra zwierzchnik! Co za radość widzieć pana u siebie, panie pułkowniku. Wiemy, że jest pan dla Dymitra nie tylko do-wódcą, ale i przyjacielem. Wiemy, ile panu zawdzięcza.

— Dymitr Aleksandrowicz nie potrzebuje nikomu nic zawdzięczać — powiedział pułkownik bez uśmiechu. — Jest to prawy żołnierz i dzielny człowiek. Właśnie z nim przyjechałem, ale... jest ranny.

Zapadła chwila ciszy króciutka — jak wieczność długa.

— Czy jest tu? — zapytała matka, zupełnie cicho. Samymi ustami.

— Jest. Wymaga zupełnego spokoju. Zupełnego. Jest w sieni. Żołnierze przynieśli go z samochodu. Proszę tam pójść. Spokojnie.

Zupełnie spokojnie przeszli matka i ojciec, a za nimi Marta i Tom do sieni. A tam równie spokojnie na środku, na noszach leżał wuj Dymitr. Biały jak płótno, z zamkniętymi oczami.

I wszystko potem odbyło się tak cicho i milcząco, jak gdyby pułkownik swoim słowem „spokojnie” nagle zaczarował dom cały.

Cicho, na palcach przeniesiono wuja Dymitra do pokoju matki i powolusieńku ułożono go na jej łóżku. Na palcach poleciał ojciec do stajni i ostrym szeptem rozesłał posłańców do Hołowina, do Żytomierza, wszędzie, po ratunek. Sam pomagał zaprzęgać konie, w głuchym milczeniu struchlałej służby.

Cichutko wokół łóżka wuja Dymitra ruszali się matka, doktor, który go przywiózł, ordynans troskliwy jak niańka, a umiejętny i delikatny jak pielęgniarka.

A w gabinecie skostniały z przerażenia, niezauważony przez nikogo we wnętrzu okna Nik słyszał, a właściwie nie słyszał takiej rozmowy.

Pułkownik zwrócił się do oficerów i ponowił pytanie:

— Kto przechowuje dezertersów?

Wtenczas wysunął się naprzód starszy oficer i w słowach krótkich i zwięzłych opowiedział, co zaszło. Zakończył, że podejrzania te dotychczas są niczym niepotwierdzone i prawdopodobnie okażą się mylne.

Na co odpowiedział pułkownik, że dobrze, że już teraz wszystko wie i będzie wiedział, jak postąpić i żeby odjeżdżali sobie natychmiast w swoją drogę, bo w tym domu jest żaloba. Żegnają dzielnego żołnierza, który umiera.

Potem przesuwali się po pokoju przed oczami zmartwiałego Nika. Szable i ostrogi leciutko dźwięczały, zamykały się jedne drzwi, a potem drugie, trzecie — cichutko. Potem szmer żwiru pod kopytami stępa idących koni.

Po gabinecie wszsz i wzdłuż spacerował pułkownik, sam.

Robiło się szaro. Nie wiadomo, kiedy wszszedł ojciec i zachrypniętym głosem przeproszał pułkownika, że tak długo zostawił go samego.

— To nic, to nic — mówił pułkownik. — Ale ja muszę zaraz jechać. Natychmiast. Chciałem tylko powiedzieć, że Dymitr Aleksandrowicz to bohater, to prawy i szlachetny człowiek. Chciał umrzeć w domu, tutaj. Dlatego mimo wszystko przywiozłem go. Po drodze, ja jadę do Kijowa. Ofensywa, pan wie? Ale nie o to! Dla mnie Dymitr to syn. Najdroższy syn... a teraz muszę się z nim pożegnać!

Urwał. Stał chwilę nieruchomo, jak gdyby nagle zapomniał o wszystkim.

Powtórzył:

— Muszę się z nim pożegnać, a jedyna pociecha, Augustie Aleksandrowiczu, to... że dla ojczyzny.

— Nie dla naszej — powiedział twardo ojciec.

— Ach tak, prawda! — zawstydził się pułkownik. — Ale zresztą któż to wie? — dokończył. — Może dla waszej? Może właśnie dla waszej!

— Przyszłość jest w ręku Boga, który widzi naszą krew — powiedział ojciec.

Pułkownik poprosił miękko:

— Czy mogę się z nim pożegnać?

Wyszli z pokoju, a Nik ruszył się nareszcie spod okna, tak śmiertelnie znużony, jak gdyby ciężką przed chwilą odbył pracę.

Dowlókl z trudem zdrętwiałe nogi do kanapy i siadł na niej bezwładnie. Wtulił się w jej kąt, skurczył, zapadł w rozpacz nieznaną dotąd, tak przejmującą i okrutną, że serce zdawało się zamierać. Już było ciemno, a nikt nie zapalał lamp. Nie dzwoniło na kolację. Kończyło się. Wszystko się kończyło, zapadało, ginęło.

Potem wrócili jeszcze ojciec i pułkownik, ale Nik nie czuł nawet tego, że wypada mu wstać i odejść albo ruchem jakimś zdradzić swoją obecność.

Ojciec zapalił świece na biurku. W blasku tych świec cień pułkownika, ogromny i czarny, biegał po ścianach i suficie.

Pułkownik mówił, że przeprasza, że w takiej chwili wprost wstydy się poruszyć tę kwestię, ale musi. I potem pytał o pana Andrzeja, przeglądał jego papiery. Mówił ojcu, że niestety musi kazać aresztować nauczyciela, aby całą tę rzecz wyjaśnić. Jest mu niezmiernie przykro!

I widać było, że naprawdę mu przykro, wręcz nieznośnie.

— Ale on zresztą pewnie tu nie wróci, jeśli rzeczywiście ma coś na sumieniu. Każę go szukać, a mam nadzieję, że pan już z tego powodu nie będzie mieć żadnych przykrości. Postaram się o to. A teraz do widzenia, Augustcie Aleksandrowiczu. Mam nadzieję, że Dymitr... — nie dokończył tego zdania.

Ale ojciec zatrzymał go jeszcze na krótką chwilę. Powiedział, patrząc mu prosto w oczy.

— Andrzej Władysławowicz to Polak. Trzeba, żeby pan wiedział, panie pułkowniku, że i ja, i Dymitr, mając do wyboru prawo Polaka i prawo pańskiej ojczyzny, wybierzemy zawsze prawo Polaka... do życia, do wolności i do walki.

— Tak, tak — odpowiedział oficer pośpiesznie — ja niczego od pana nie żądam. Niczego.

Wyszli do sieni, gdzie paliła się już wisząca pośrodku wielka latarnia, migocąca rzeźbami brązu. Kolorowe jej szyby rzucały na taflową podłogę sieni niebieskie i fioletowe połyski.

Potem zahuczał motor auta, a światła reflektorów oświeciły nagle trawniki przed podjazdem i najbliższe drzewa parku, który stał nieprzenikniony, wierny i głęboki, groźnie czuwając nad bezpieczeństwem powierzzonego sobie życia człowieka.

ROZDZIAŁ XIII. CHWILA, W KTÓREJ NAWET TAJEMNICA NIC NIE ZNACZY

Naturalnie wobec tego, co się działo z wujem Dymitrem, można było zupełnie zapomnieć o panu Andrzeju. Toteż wszyscy o nim zapomnieli — tylko nie ojciec.

Po północy wszedł do pokoju szkolnego, gdzie Olek uczył się jeszcze, z rękami zatopionymi we włosach (właściwie tego wieczoru, on jeden tylko się uczył i to dopiero teraz) i kazał mu iść za sobą.

Z sali jadalnej wyszli na kredensowy korytarz. W całym domu już było ciemno i zupełnie cicho. Wyjętym z kieszeni kluczem ostrożnie otworzył ojciec spiżarnię i weszli obaj po omacku.

Od czasu do czasu na sekundę tylko, świecąc sobie elektryczną lampką, ojciec zbierał z półek to, co trafiało mu pod rękę i kazał Olkowi chować do kieszeni. Wianek kielbasy, chleb, ser zawinięty w wilgotne płótno. Z grubym niesmakiem rozmieszczał Olek te wiktuały po kieszeniach, zaciekawiony do ostatnich granic tym, co miało z tej aprowizacji wynikać. Raz nawet spróbował pytać, ale ojciec nakazał mu milczenie.

Z bufetu w sali jadalnej wyjęto nóż i butelkę koniaku.

Z najwyższym zdumieniem ujrzał Olek, że w sieni ojciec owija się grubym kocem, a jemu, Olkowi, każe naciągnąć burkę jesienną, używaną do bryczki w dnie deszczu i zima.

Potem tak fantastycznie przyodziani wyszli bocznymi drzwiami, wprost w park. Ojciec raz jeszcze przypomniał Olkowi, że ma się zachowywać jak najciszej. Niemożliwie cicho!

Gdy stąpali ostrożnie po piasku alei prowadzącej na wyspy, ojciec wziął Olka pod rękę i powiedział mu w samo ucho, że idą do pana Andrzeja, który jest schowany w grocie. Wprawdzie żołnierze zostawieni przez pułkownika śpią, ugoszczeni wódką, pod bacznym

okiem Wincentego, należy jednak zachować najwyższą ostrożność, by nikt nie domyślił się niczego.

Nad brzegiem jeziora zatrzymali się i dłuższą chwilę nasłuchiwali — cisza była zupełna. Woda stała nieruchoma i głęboko czarna.

Z tego miejsca dopiero nawrócili w park, do grotty.

Podnieśli płytę i klękli na krawędzi otworu.

— Panie Andrzeju — zawołał ojciec szeptem.

— Jestem — odpowiedział głos z głębi.

— Dobrze. Nie może pan jeszcze niestety wyjść z lochu, bo we dworze są żołnierze, pozostawieni dla schwytania pana. Poza tym inni szukają pana po okolicy. Może więc dłużej wypadnie panu tu posiedzieć.

Tu ojciec urwał i czekał chwilę.

— Jeśli trzeba, to trudno — odpowiedział głos, ten dziwny głos, który zdawał się nie posiadać właściciela. Ojciec ciągnął dalej.

— Potem obmyślimy sposób przemycenia pana do Szwajcarii, bo jednak będzie pan musiał tam uciec, nie ma rady. Teraz trzeba przeczekać niebezpieczeństwo i zresztą... straciliśmy wszyscy głowę: przywieźli Dymitra rannego.

— Aa...

— Rannego ciężko. Mimo to pojedę jutro do Hołowina, by naradzić się z moim szwagrem w pana sprawie. Teraz przynieśliśmy panu koc, burkę i jedzenie. Jutro przyniesiemy znowu. Nie będzie panu bardzo wygodnie spać na ziemi, ale trudno, pan żołnierz.

— Tak — odpowiedział pan Andrzej — nieraz sypiałem na gołej ziemi.

— Więc dobrze, teraz zapalam lampkę elektryczną, i rzucam panu nasz ładunek.

Wnętrze lochu nagle rozświetliło się ostrym światłem. Pan Andrzej na chwilę zamknął oczy. Potem rzucano mu kolejno wszystkie rzeczy, które układał w głębi.

— A teraz proszę uważać — powiedział ojciec — rzucam panu latarkę i dwie baterie, na razie więcej nie mam, proszę więc oszczędzać światła. A przede wszystkim po nakryciu płyty muszę skontrolować, czy światło nie sączy się przez szpary. Już idziemy.

— Zaraz — powstrzymał go jeszcze pan Andrzej. — Czy wyloty korytarzy są otwarte?

— Ale nie, cóż znowu — zaprzeczył ojciec. — Jeden kazałem zamurować zaraz, gdyśmy ten przekop odkryli. Drugi tajemnie się zamyka w ruinach zamku kamienieckiego, które pan zna. Ani z jednej więc, ani z drugiej strony nic panu nie grozi.

— Dziękuję panu. Jeszcze jedno. Chciałbym wiedzieć, czy rana pana Dymitra jest bardzo ciężka?

— Tak — odpowiedział ojciec krótko.

Gdy mieli zasuwac płytę, Olek zapytał jeszcze pana Andrzeja, czy nie przynieść mu nazajutrz broni.

— Ach tak, tak — przypomniał sobie ojciec — przecież przyniosłem panu rewolwer. Proszę uważać, rzucam go. Bezpiecznik założony. To właściwie niepotrzebne, ale przyjemniej z nim panu będzie, prawda? A teraz już do widzenia.

Płyta przylegała szczelnie. Nie sączyło się z dołu światło. Noc groźna i cicha otoczyła ich znowu wśród drzew parku.

Gdy Olek rozbierał się po ciemku, posłyszał, że Nik nie śpi jeszcze. Wiercił się w pościeli i z lekką chrząkał. Olek zbliżył się na palcach i siadł na brzegu jego łóżka.

— Ty gdzieś chodziłeś — powiedział mu Nik.

— Tak — przyznał Olek — chodziłem do pana Andrzeja. On, wiesz? Jest schowany w przekopie, ojciec pozwolił mi powiedzieć ci o tym.

— Gdyby nie to, że wuj Dymitr jest ranny, to byłoby mi przykro, że nie chodziłem z wami — powiedział Nik — ale tak, to właściwie w ogóle wszystko jedno i nawet taka historia nic nie znaczy.

— Rzeczywiście — kiwnął głową starszy brat. — I powiem ci nawet, że jeśli wuj Miś nie wyzdrowieje... — ale nie mógł sformułować tej strasznej myśli, ścisnął Nika za rękę i czym prędzej wrócił do swego łóżka.

Długo w noc leżeli z oczyma otwartymi na ciemność.

ROZDZIAŁ XIV. RANA

Pokój matki, ten najmiłszy, najśliczniejszy z pokojów w domu, stał się teraz miejscem męki i srogiej boleści. Szeroko otwarte okna zasłonięto roletami. Z mahoniowej toalety znikły flakony, szkatułki, lusterka, hafty — na ich miejsce pojawiły się na białym płótnie rozeslane bandaże zwinięte twardo, szczelnie zamknięte pudła zawierające gazę pachnącą jodoformem, wata biała, opieczutowana czerwonym krzyżem, buteleczki jodiny, benzyny, sublimatu i wreszcie szklane, podłużne pudełka, w których błyszcząły jasną stałą pęsety, nożyczki, lancety i jakieś dziwne, różnorodne narzędzia niewiadomego przeznaczenia.

Na niskim, szerokim łożu matki leżał wuj Miś z głową owiniętą bandażami, z rękami ułożonymi na koldrze. A jedna z tych drogich, znajomych rąk wuja Misia, również owinięta była aż po łokieć w owe białe, wrogie bandaże, które zatracaly jej kształt i odbierały władzę.

Wszystko teraz w tym pokoju błyszcząco, ale jakimś nieprzyjemnym połyskiem. — Zimne lustra, odbijające blade, umęczone twarze, mahoń mebli nagle zamarłych w nie-naruszonym, twardym porządku. Rzucaly światelka ostre klamki u drzwi niedotykane ręką, błyszczał na ścianie ponad łóżkiem krzyż srebrny, do którego matka tyle razy rozszlochane przytykała usta.

Na stolicku, między oknem a fotelem, w wazonie kryształowym stały kwiaty. Zawsze były świeże i teraz także. Marta mimo wszystko nie zapomniała o tym. Co dzień z rana biegły z Anią do ogrodu i ścinały najpiękniejsze, najświeższe chryzantemy, gladiolusy lub róże.

— Gdy wuj Miś oprzytomnieje — mówiła Marta do Ani — to trzeba, żeby od razu zobaczył, że ma w pokoju najładniejsze kwiaty! Uważaj Aniu, wybieraj tylko naprawdę ładne.

Ale wuj Miś właściwie nie był wcale nieprzytomny. Od czasu do czasu otwierał oczy i powoli, obojętnie wodził nimi po pokoju i obecnych. Poznawał wszystkich i wszystko rozumiał, tylko właściwie nie chciało mu się ani poznawać, ani rozumieć, bo po co? Mógłby nawet mówić, gdyby chciał. Ale nie chciał.

To prawda, że wtedy na placu boju, zwieszony przez korbę swej maszyny, zlany krwią, jeszcze tętniący życiem i związany z nim całą duszą, powiedział bladymi ustami: „Do domu, do Niżpola” — ale teraz było mu już wszystko jedno, dom nie dom. Tak samo się umiera na ziemi litościwej, która wypija krew wyciekającą z rany.

Nie myślał o tym, czy umiera, czyli też życie najpiękniejsze zatrzyma go jeszcze laska-wie w swojej dziedzinie. Nie myślał o tym, że leją się jakieś lzy bolesne z drogich oczu, ani że czyjeś usta wypraszają go żarliwie z niezłomnych wyroków Bożych.

Bo czyż nie wszystko jedno? Czyż warto się o życie troskać, gdy się już nań spojrzalo od wiekustej strony i oceniło podług wartości?

Dziociom wolno było od czasu do czasu wchodzić do pokoju, cicho i spokojnie. Mimo to chodziły tylko dziewczynki. Chłopcy nie chcieli. Marcie i Ani zawsze się zdawało, że potrzebne są wujowi Misiowi, że może będą mogły mu coś podać albo przysunąć, albo przynajmniej wziąć za rękę i tym uściskiem podzielić się z nim jego cierpieniem. A chłopców ogarniał niepojęty wstyd na progu tej komnaty. Myśleli, że wuj Dymitr woli na nich nie patrzeć i leżeć sobie spokojnie, sam na sam ze srebrnym Chrystusem na ścianie.

Dziwne się zrobiło teraz życie w Niżpolu, ciche, a ogromnie zaludnione. Od rana do wieczora ktoś przyjeżdżał czy wyjeżdżał, na kogoś czekano, to odpowiadano na listy przywożone przez konnych posłańców. Wszyscy już wiedzieli w okolicy, że wuj Dymitr leży w Niżpolu ranny i walczy ze śmiercią. Co dzień się posyłało do Żytomierza po doktora.

Mieszkańcy Hołowina prawie zamieszkali w Niżpolu. Szczególniej wuj Ryszard. Od rana do wieczora spacerował po kamiennej podłodze sieni wzdłuż i wszerz, paląc papierosy jeden za drugim. Od czasu do czasu przystawał pod ścianą i czytał bezmyślnie daty wyryte między rogami jelenich czaszek rozwieszonych na ścianach.

Z początku ciocia Halszka spróbowała pomagać matce w pielęgnowaniu wuja Dymitra, ale okazało się, że nie może. Ręce jej drżały, kiedy podawała mu pić i oblewała koldrę. Ciągłe wszystko kładła nie na właściwym miejscu, a potem zapomniała gdzie. Po paru próbach zrezygnowała. Za to Nata, wbrew przewidywaniom, okazała się nad-

zwyczaj pomocna. Spokojnie i dokładnie umiała spełnić każdą czynność. Bez drgnienia powiek wobec otwartej krwawej rany podawała doktorowi setony, watek, bandaże. Mocno i pewnie umiała trzymać pęsety i brać nimi przedmioty, których palcami tknąć nie wolno.

I zdawało się, że właśnie jej obecność najwięcej lubił wuj Miś, jeżeli w ogóle był w stanie wówczas coś lubić. Jej właśnie oczy niezapłakane i uważne, jej ruchy spokojne, pewne i celowe.

— Ty wcale się nie niepokoisz ani martwisz — powiedziała do niej kiedyś Marta z urazą.

Nata uśmiechnęła się wyniośle.

— Co ty możesz o tym wiedzieć — odparła. — A zresztą owszem, nie niepokoję się. Nie umiem się niepokoić — mówiła niechętnie. — Nie umiem sobie wyobrazić, że może się stać coś złego. I w ogóle wcale sobie tego wyobrażać nie trzeba. Nawet nie wolno — zakończyła stanowczo, a potem zapytała chmurnie.

— A właściwie dlaczego przywieziono wuja Misia tutaj, a nie do domu jego, do Hołowina?

— Bo tak chciał — powiedziała z zadowoleniem Marta i nagle się rozplakała, bo jej się wydało, że czyjeś prawa do wuja Dymitra są większe niż jej i mogą w końcu zwyciężyć.

Ania najwięcej lubiła wtedy wejść do pokoju wuja Misia, kiedy tam nikogo nie było.

Długo i cierpliwie czyhała na te rzadkie momenty.

Pokój Ani przylegał do pokoju matki. Naturalnie od razu po przywiezieniu wuja Misia chciano Anię przenieść na drugi koniec domu, do któregoś z gościnnych pokoi. Ale Ania wyblagała sobie pozostanie na miejscu. Obiecała, że nigdy, ani razu nie piśnie, i że będzie się ruszała cicho jak mysz.

Zamknięto więc tylko drzwi na klucz i zawieszono je z jednej i drugiej strony grubymi dywanami.

Ania dotrzymała słowa, z panną Marią rozmawiała szeptem, przykładając usta do jej ucha, chodziła uważnie, w miękkich pantofelkach, własnoręcznie naoliwiła drzwi wszystkich szafek. Zresztą to było bardzo przyjemne zajęcie i Ania chętnie powtarzały je co dzień, gdyby nie to, że drzwi w ogóle mają zbyt dobry charakter. Raz naoliwione więcej nie skrzypią.

Ale te drzwi zawieszane podwójnym dywanem korciły Anię, gdy była sama w pokoju.

Razu jednego wsunęła się pod zasłonę i dotknęła klamki. Tuż pod nią tkwił klucz, czarny i duży. Ania na próbę, tak sobie, bez wyraźnego celu, spróbowała pokręcić kluczem. Obrócił się lekko i łatwo jak nóż w maśle i wtedy już Ania wiedziała, że wystarczy nacisnąć klamkę, aby drzwi się otworzyły.

Jednak nie zrobiła tego tym razem. Stała tylko chwilę, pełna głębokiego triumfu i wysunęła się cicho, do swego pokoju z powrotem.

Dopiero w kilka dni później, gdy za oknem deszcz chlapał, znudzony i szary, i wszystko wokół znudzone było i szare, skorzystała Ania z tego, że panna Maria poszła do oficyny, i wsunęła się znowu pod dywan.

Tym razem nacisnęła klamkę — drzwi się uchyliły.

Wtedy Ania cichutko przewinęła się przez szparę i odchyliła dywan na pokój matki.

Nikogo w nim nie było prócz wuja Dymitra. Na palcach podeszła do łóżka. Leżał spokojnie z zamkniętymi oczami.

Leciutko siadła na brzeжку kołdry — wiedziała, że nie wolno, ale cóż zrobić! Czasem się musi zrobić coś, czego nie wolno. Nie ma na to rady!

Deszcz bił o szyby miarowo i sennie. W szerokiej szparze między zasłonami okna widniał kawałek parku, wąski, daleki kawałek, ten za parterem kwiatowym, znad jeziora. Strumienie zalewały szybę, więc właściwie widać było tylko długie smugi zieleni, czerwieni i złota.

Ania końcami palców dotknęła ręki wuja Dymitra. Potem nagle przypomniała sobie pewną ilustrację z bajek. Leżała tam zakłeta królewna w niebieskiej, atlasowej sukni na złocistym łożu, a u stóp jej klęczał królewicz w obcisłym ubraniu i właśnie miał za chwilę ją pocałować, żeby zdjąć z niej zaklęcie i zbudzić do życia. Anię irytowało zawsze, że w bajce było napisane, że najpierw ją pocałował, a potem ukląkł. A tutaj już klęczał, a ona ciągle

jeszcze spała. Więc właściwie z tego by wynikało, że w ogóle wcale mu się nie udało z tym pocałunkiem.

Ania zsunęła się na dywanik i pocałowała wuja Misia w rękę. Nie spojrział na nią. Leżał dalej tak jak przedtem. Widać i jej się nie udało.

Została już na dywaniku i zapatrzyła się w ten wąski kawałeczek odsłoniętego okna.

A potem nagle zobaczyła, że ręka wuja Misia porusza się na kołdrze. Palce się podwijają lekko i powoli.

Ania spojrzała na wuja Misia — patrzył na nią.

Bardzo długo nic nie mówili do siebie, przyglądając się sobie uważnie.

W końcu wuj Miś powiedział dosyć cicho:

— Czy ci nie zimno?

Ania spojrzała na swoje krótkie rękawki i nagie kolanka.

— Nie zimno mi wujciu Misiu — odpowiedziała — jeszcze nie ma mrozu. Dopiero jesień.

— I deszcz pada? — zapytał znowu.

— Właśnie pada, ale nie zawsze. Czasem przestaje.

Wuj Miś z trudem odwrócił głowę i patrzył chwilę w wąską szparę okna. Potem znowu zwrócił oczy na Anię.

— Czy wujaszka trafiła kula? — zapytała z ciekawością.

— Trafiła — odpowiedział poważnie.

— I od razu w trzy miejsca — westchnęła ze zgrozą.

— W trzy? Nie wiem. Być może.

— Ale ja wiem — z triumfem powiedziała Ania. — W głowę, w rękę i w płuco! Wujaszek wie? W to, co jest w klatce piersiowej. Tu! — wskazała uderzając się piąstkami po szerokim kołnierzu z białego płótna. — Ale ta klatka, to nie jest taka, jak na kanarki — wyjaśniła uprzejmie.

Po chwili zapytała z oburzeniem.

— I jak ona potrafiła tak od razu w trzy miejsca!

— To był szrapnel — powiedział wuj Miś.

— Taki co rozszarpuje i sypie się naokoło?

— Tak. Właśnie taki.

Ania zamyśliła się na chwilę. Wyobrażała sobie wybornie, jak to było. Leci taka ogromna, okrągła kula, buch! pada na ziemię i rozpryskuje się na wszystkie strony. Wtedy trafia.

— Czy strasznie dużo było huków? — zapytała.

Wuj Miś uśmiechnął się.

— Dosyć — odpowiedział.

— Wujaszek wie? — wyszeptała tajemniczo. — Wtenczas się z wujaszka tyle krwi wylało, że właśnie dlatego to wszystko. Gdyby nie to, to właściwie wujaszek nie jest tak ciężko ranny.

— Ach, nie jestem?

— Nie. Ale właśnie ta krew. Cały automobil był zalany. Tak się lało jak z rynny, chlup, chlup... z tej ręki. Gdyby właśnie nie to, to nie byłoby tego wszystkiego.

— Czego „wszystkiego”? — zapytał.

— No... tego — urwała Ania. — Ale i tak teraz już wujaszek nie umrze — dokończyła spokojnie.

— Phi... czy ja wiem — powiedział wuj Miś.

— Na pewno — wygłosiła Ania z całą stanowczością.

ROZDZIAŁ XV. JAK WUJ DYMITR LEGIONISTĘ PRZEMIE- NIŁ W PANIENKĘ

Ojciec z wujem Ryszardem, w czasie długiej i burzliwej narady odbytej w Hołowinie nad losami pana Andrzeja, właściwie nic nie wymyślili. Tyle tylko, że musi jeszcze czas jakiś przeczekać w Niżpolu, a potem uciec do Szwajcarii. Ale w jaki sposób, Bóg to raczy wiedzieć.

Przy tej okazji pokłócili się nawet trochę, bo wuj Ryszard twierdził, że cały ten czas legionista musi przesiedzieć w przekopie, a ojciec dowodził, że niepodobna go trzymać dłużej w wilgotnej piwnicy, zwłaszcza że czyniła się już dotkliwa jesień. Ojciec postanowił tedy zabrać go do domu i ukryć w mansardowym pokoiku na strychu.

— Jeśli wam przy tej okazji spalą Niżpol, a ciebie powieszają, to proszę cię, nie miej do mnie żalu — mówił wuj Ryszard.

— To trudno, mój drogi, nie widzę innego wyjścia, chyba że może ty zechcesz go wziąć do Hołowina? — zaproponował ojciec, uśmiechając się złośliwie. A potem zakończył lekkomyślnie — Ba! Cóż robić, Niżpol jest po to, by ludziom w nim było dobrze, a nie po to, by ich zakwaszać w piwnicy jak ogórki na zimę.

Na to wuj Ryszard powiedział, że zna ten system dobrze. Że już od dawna patrzy na to, jak w Niżpolu zamiast gorzelni buduje się pałacowe czworaki.

— Zwracam ci tylko uwagę, że taki jeden pan, którego nie chcesz „zakwaszać” w piwnicy, może w niwecz obrócić całą szczęśliwą społeczność niżpolską.

Nie pomogły jednak te przestrogi. Po paru dniach, gdy po wojsku i śladu już nie zostało w okolicy, w noc ciemną przeprowadził ojciec pana Andrzeja do domu i ukrył go w malutkiej skrytce na strychu. Przy pomocy Olka i Nika cicho pousuwał pod ściany wypełniające ciupkę paki. Na wielkiej skrzyni ze starzyzną ułożono siennik i pościel. Inne zamieniono na stoliki i krzesła. Potem zaopatrzonego legionistę w książki, mydło, wodę i jedzenie, pozbawiając go natomiast wieczornego światła.

— Gdyby z podwórza dostrzeżono światło na strychu, wszcząłby się alarm — powiedział ojciec. — Trudno! musi pan wcześniej kłaść się spać albo po ciemku układać poematy.

W taki to sposób został pan Andrzej zainstalowany na strychu, gdzie w oczekiwaniu sposobności do ucieczki musiał trwać w zupełnej ciszy, obliczając każdy krok, miarkując każde poruszenie.

A na dole, w domu, zapanowała właśnie wielka radość! Już było wiadomo, że wuj Miś żyć będzie.

Poradził sobie jakoś z niemocą, wydarł się śmierci. I nawet szybko sobie radził. Z dniem każdym się ożywił, wzmacniał, męźniał. Rany goiły się czysto. Nie darmo wuj Miś mówił zawsze, że jest najzdrowszym człowiekiem na świecie.

— Taka kula, która mnie nie trafi prosto w serce, nieomylnie, nie da sobie ze mną rady — mówił dawniej, jeszcze przedtem, gdy siostra żegnała go jadącego na front.

Po kilku tygodniach, mimo perswazji siostry i doktora, uparł się, że wstanie. Kazał sobie nałożyć pidżamę, pantofle i wstał z miną triumfującą i dumną. Zaledwie jednak przeszedł z łóżka na fotel, pociemniało mu w oczach i zemdłał.

Wypadek ten ogromnie nadwyrężył jego wiarę we własne siły. Po prostu obraził się na siebie, stracił zaufanie. Leżał już potem nadęty i gniewny, a wieczorem powiedział do szwagra.

— To jest proste świństwo. Nikt już teraz nie mdleje, to wcale nie jest w modzie!

Ojciec mu odpowiedział, że powinien się cieszyć, że z takiej wojennej przygody wykręcił się kilkoma tygodniami łóżka. A on jeszcze klnie, także sposób!

— Wszystko jedno — uparł się wuj Dymitr — to jest świństwo i nic więcej.

A potem ze złości zasnął.

Dopiero gdy wzmacnił się tak, że mógł już siadać w fotelu, ojciec i wuj Ryszard zdecydowali się zasięgnąć jego rady w sprawie pana Andrzeja. Przyszli do niego zaraz po obiedzie, tego właśnie dnia, gdy spadł pierwszy śnieg.

Wuj Miś siedział pod oknem i rozmawiał z Olkiem i Nikiem o ich szkolnych sprawach.

— Czy czujesz się na siłach, Dymitrze, porozmawiać z nami o pewnej ważnej kwestii? — zapytał wuj Ryszard.

— Ba! — odpowiedział — jeśli tylko nie chodzi o proroctwa na temat wojny ani o kwadraturę koła...

— Coś w tym rodzaju — rzekł ojciec — chodzi o sposób przemycenia pana Andrzeja poza granicę Rosji.

Wuj Dymitr spowaźniał.

— W istocie — powiedział, zamyślając się — bodaj czy to nie trudniejsze jeszcze.

— Trzeba by go wyprawić do Szwajcarii. Przede wszystkim dlatego, że ma tam krewnych, rodzinę matki, po wtóre, jest to jedyne miejsce, gdzie będzie bezpiecznym. Można by ostatecznie do Szwecji, ale cóż tam będzie robił, w dodatku nie znając języka? Jakże go więc przetransportować do tej Helwecji?

— Tylko przez Petersburg, Finlandię, Sztokholm i Francję — powiedział wuj Miś.

— Ba! Włazić smokowi prosto w paszczę!

— No, przecież nie będziemy go gnać na Syberię — rzekł ojciec.

— Diabelnie to trudna sprawa dla zwyczajnego człowieka wydostać się teraz stąd gdziekolwiek, a cóż dopiero dla takiego, co musi się ukrywać i nie ma żadnych papierów, a raczej ma, ale kompromitujące. A toś nas ubrał Dymitrze! — zirytował się w końcu wuj Ryszard.

— Ciekawa rzecz, co innego mógł zrobić? — zaprotestował ojciec — Podług mnie sprawa w danej chwili przedstawia się tak. Trzeba dla niego zdobyć papiery obywatela szwajcarskiego, trzeba go odpowiednio ucharakteryzować, trzeba mu wyrobić pozwolenie na wyjazd i w końcu trzeba go dostawić do Helsingforsu²³ i stamtąd już bezpiecznego wyprawić do Szwajcarii.

— Znakomity jesteś Augustcie ze swoim „trzeba” — zaśmiał się ironicznie wuj Ryszard. — Przede wszystkim „trzeba” się zastanowić, czy choć jeden punkt twojego planu jest wykonalny.

— Wyrobienie w Petersburgu pozwolenia na wyjazd biorę na siebie, jak tylko zdołamy mu papiery — powiedział wuj Miś.

— Zwariowałeś chłopcze! — krzyknął ojciec. — Ledwie się na nogach trzyma, kaszle jak suchotnik i już usiedzieć spokojnie na miejscu nie może! Nie zapominaj przy tym, że to ty go wiozłeś wówczas, gdy zbiegł. Dość tego, że raz jeden nazwisko twoje jest związane z jego aferą. Nie możesz się więcej kompromitować. I tak się dziwię, że dotychczas nie skombinowali, jak dziwnie się zbiega fakt jego pobytu w „twoim” domu z jego ucieczką z „twojego” auta.

— Gdybyś wiedział, mój drogi, jaki teraz wszędzie „bałagan” i chaos, nie dziwiłbyś się niczemu. Myślisz, że na przykład w danej chwili ktokolwiek jeszcze pamięta o istnieniu, ucieczce i wykryciu tutaj legionisty? Ani mowy! Przecież wiem dobrze, co się teraz dzieje we wszystkich urzędach zarówno wojskowych, jak i cywilnych! Jedyna rzecz, jaka teraz może panu Andrzejowi grozić, to osobiste rozpoznanie go przez kogoś, komu się jeszcze w dodatku zechce tą sprawą zainteresować. To, co się właśnie tutaj tak nieszczęśliwie przydarzyło, z tym matołkowatym oficerem. Ale już drugi raz błędu takiego nie popełnimy. Od czegoż jest szminka i peruki? W ogóle nawet nie rozumiem, dlaczego on tu u was spacerował z tą swoją wygoloną twarzą, którą każdy może poznać? Niech zapuści wąsy, brodę...

— Ba! — powiedział ojciec. — Trafiasz w miejsce bolesne. Ten smarkacz daremnie skrobie podbródek szczyrzykiem! Ani śladu zarostu!

— Psia kość, że też nasza Szwajcarka, mademoiselle Lucette, która umarła w roku zeszyłym, nie była mężczyzną! Prawdziwy pech. Wszystkie jej papiery mam u siebie! — powiedział wuj Ryszard.

Wuj Dymitr wyprostował się nagle w fotelu i ręką uderzył po poręczy.

— Ależ to tym lepiej! Tym lepiej! — wykrzyknął. — Czyż może być doskonalsza mademoiselle Lucette od naszego legionisty!

Ojciec i wuj Ryszard popatrzeni na siebie ze zgrozą.

— Czy ty Dymitrze w ogóle masz źle w głowie... — zaczął z oburzeniem wuj Ryszard, ale młodszy brat wcale go nie słuchał. Ożywiony i roześmiany mówił z zapalem:

— Tylko go sobie wyobraźcie w sukni kobiecej. Mały, zgrabny, twarzyczka delikatna, nosek niemowlęcy, biały i różowy! Słowo daję, gotów jestem zakochać się od pierwszego wejrzenia! Głowę mu ufarbować na złoto i zondulować, brwi przystrzyć, usta wykarmინować i niech mnie kule biją, jeśli nie wrzuci każdego urzędnika na każdej granicy. Przy tym po francusku i niemiecku mówi doskonale. Nie! Na Boga, marzyć nie można było o pomyślniejszym zbiegu okoliczności. Prawdziwa łaska Boska na nas spłynęła.

²³Helsingfors — Helsinki, szwedzka nazwa stolicy Finlandii. [przypis edytorski]

— W istocie, to zdaje się możliwa kombinacja — powiedział w zamyśleniu ojciec, podczas gdy Olek i Nik w głębi pokoju tarzali się na kanapie z uciechy.

Ale wuj Ryszard stracił równowagę i panowanie nad sobą, wstał i powiedział ze złością:

— Przebywając z wami, można nabrać przekonania, że życie to jest powieść quasi-histeryczna, do użytku młodzieży. Jeszcze trochę, a zainscenizujecie parę rozdziałów z *Trylogii* albo *Trzech Muszkieterów*. Umywam ręce od tej całej sprawy.

Wuj Dymitr jednak nie dał mu umyć rąk. Powiedział, że przede wszystkim musi, właśnie on, Ryszard, wyrobić u swych wysoko postawionych przyjaciół w Petersburgu pozwolenie na wyjazd mademoiselle Lucette. Potem ostatecznie może sobie umyć ręce, nawet mydłem.

I daremnie wuj Ryszard złościł się i zżymał. Musiał obiecać i dopiero wówczas wypuszczono go na wolność. Wyjechał, prorokując zagładę Niżpola i Hołowina, zesłanie wszystkich członków rodziny z Anią włącznie na Syberię, stryczek, sąd wojenny i ogólną pożogę.

Tymczasem sprawa przybrała obrót trochę od przewidywanego różny. Okazało się bowiem, że wuj Miś zaczyna chorować na płuca. Ten kaszel to nie był wcale „tak sobie”, jak mówił, tylko właśnie z tego. Lekarz wojskowego szpitala w Żytomierzu, do którego nominalnie wuj Miś był przydzielony, skonstatował to dnia pewnego z całym spokojem i taką miną, jak gdyby tego właśnie spodziewał się od dawna i teraz zatriumfował.

— Naturalnie trzeba by do Szwajcarii — powiedział na zakończenie i tu nagle roz-
złościł się jak potępieniec. Właśnie! Do Szwajcarii, kiedy ludzie umyślili sobie, że będą się rżnąć na wszystkich granicach. Ładna zabawka!

I wytoczył się z sieni pod filary, groźny i sapiący.

— A ty durniu, żebyś mi nie zapomniał włożyć za budę moją torbę, jak tamtym razem, bo uszy poobrywam — wrzasnął na zakończenie do Filipka, który zapinał skórzany fartuch powozu i kłaniał się majestatycznie, pełen obrażonej godności.

Więc potem trzeba już było zrobić masę rzeczy — zanim udało się wyprawić do Szwajcarii wuja Dymitra i mademoiselle Lucette. Zwolnienie z wojska poszło względnie najłatwiej, dzięki wydatnej pomocy pułkownika Wołkońskiego i jego wpływowi.

„Jedź chłopcze drogi do Szwajcarii i wracaj nam stamtąd zdrów — pisał pułkownik, wysyłając potrzebne dokumenta — nie jestem pewien, czy zobaczymy się jeszcze. Życie brzydnie, ale cóż! Żelazne jest prawo ojczyzny i twarda jej służba. Niech cię Bóg ma w swej opiece i Panna Przczysta”.

Dla mademoiselle Lucette, wezwanej z Berna przez chorą matkę (list został skomponowany przez wuja Dymitra w słowach wzruszających i pełnych uczucia), papiery wyrabiał wuj Ryszard.

Wszystkie te formalności i starania zajęły jednak sporo czasu. Była już pełna zima, mroźna, śnieżna i skrząca, gdy nareszcie po niezliczonych jazdach, listach i depeszach wszystkie papiery opatrzone setkami podpisów, pieczęci i fotografii dostały się w ręce wuja Misia.

Teraz pozostawała nie mniej trudna część zadania — ucharakteryzowanie pana Andrzeja na młodą i skromną panienkę. Od chwili owej, gdy zapadł projekt, pan Andrzej nie obcinał włosów, toteż gdy przyszedł czas odjazdu, już wcale ładna czuprynka opadała mu wdzięcznie na czoło i szyję. A umiejętnie ufryzowana przez pannę Marię, ułożyła się na jego głowie równie czarująco jak wszystkie złotowłose czuprynki młodych dziewcząt.

Przy tych zabiegach, mających na celu nadanie panu Andrzejowi jak najbardziej dziewczęcego wyglądu, Olek i Nik pokładali się ze śmiechu, tym bardziej niepokonanego, iż musiał być usilnie tłumiony. Wybuchy te zupełnie uniemożliwiały akcję pannie Marii, uzbrojonej w szczypce i szczotki.

Te wprawki wstępne, w czasie których pan Andrzej, obleczony w suknie matki i zondulowany anielsko, spacerował drobnym kroczkiem po swym mansardowym pokoiku, były dla asystujących przy nich chłopców źródłem najszczerzej uciechy.

Wzywane jako rzeczoznawcy²⁴ Marta i panna Maria udzielały delikwentowi zbawien-
nych rad i przestróg.

²⁴wzywane jako rzeczoznawcy Marta i panna Maria udzielały (...) — dziś popr.: (...) jako rzeczoznawczynie (...). [przypis edytorski]

— Niech pan nie stawia takich drobnych kroczków, bo nikt tak już dzisiaj nie chodzi. Niech pan patrzy, jak ja chodzę, o! — pokazywała Marta, spacerując między pakami.

— I w ogóle niech pan nie robi takich skromnych min. Trzeba być zupełnie naturalnym — radziła panna Maria. — Nic nie szkodzi swobodne ruchy. Małoż to jest dziś sportowych panien wkładających ręce do kieszeni i ruszających się jak chłopcy? A wszelka sztuczność zwróci uwagę.

Wyjazd miał nastąpić zaraz po świętach Bożego Narodzenia. Do Helsingforsu miała wuja Dymitra i mademoiselle Lucette odwiedzić matka.

A w jedno przecedne, błyszczące od słońca południe wracali Olek i Nik po raz ostatni przed świętami ze szkoły.

Dusze ich już były zupełnie świąteczne, a policzki i nosy rumieniły się od mrozu.

Małe saneczki „kozyrki” mknęły po wyslizganej drodze, a rosła, śmigła klacz rwała naprzód, parskając, hamowana umiejętną dłonią Olka.

Chciało się krzyczeć ze szczęścia i pędzić głos radosny daleko, po polach zasłanych białym śniegiem.

Szczególna radość i duma rozpierały serce Olka. W kieszeni kurtki na piersiach wioził do domu cenzurę tak chwalebna, jakiej się z niepokojem, choć wiarą spodziewał. Była doskonała i zaszczytna. Czuł się więc oto nie tylko najlepszym uczniem w klasie, ale i tej klasy duchowym przywódcą i zwierzchnikiem. On, dobry kolega, prawy człowiek, zdolny i sumienny uczeń, niezawodny przyjaciel!

Nik nie mógł się pochwalić podobnymi triumfami na polu naukowym. Nie same piątki i czwórki figurowały na jego dokumencie. Były tam też pewne zastrzeżenia co do pilności i uwagi, toteż siedział cokolwiek nadęty, z nosem schowanym w futro kołnierza.

— Ty Nik, o co będziesz prosił ojca na święta? — zapytał Olek, powstrzymując nieco klacz, by móc swobodnie porozmawiać o ważnej kwestii.

— O nic — odpowiedział szorstko Nik.

Było od dawna ustalonym zwyczajem, że chłopcy, o ile sumiennie przeszli kwartał naukowy, sami wypowiadali ojcu swoje świąteczne pragnienia.

— No! Ja sądzę, że mógłbyś — powiedział łaskawie Olek — cenzurę masz wcale przyzwoitą. Ani jednej dwóki.

— Mógłbym, ale nie chcę — powiedział dumnie Nik.

— A ja owszem — rzekł powoli Olek. — I wiesz, o co prosić będę? O... — tu Olek zrobił efektowną pauzę — o... odwiezienie wuja Misia wraz z mamą do Helsingforsu.

Nik poruszył się niespokojnie i wysunął brodę z futra. Nagle szarpnęła nim rozpacz, iż tak lekkomyślnie wyraził wspaniałą gotowość zrzeczenia się przywileju na korzyść ambicji. Przez chwilę zawrzała w jego sercu walka. Cofnąć się czy nie cofnąć? Ostatecznie tylko Olek słyszał to fatalne „o nic”. Zaraz jednak powróciło mu zawsze czynne poczucie sprawiedliwości.

„Nie zasłużyłem na to, by móc o coś prosić na święta” — powiedział sobie, ale żeby się pokrzepić na duchu wyraził nadzieję, że:

— Pewnie ojciec i tak się nie zgodzi!

— Dlaczego? — zaprotestował Olek. — Tak dawno nie jeździliśmy nigdzie, tyle lat już siedzimy kamieniem w domu, że powinien!

— Ja bym się nie zgodził — stanowczo zdecydował Nik, lecz mimo tej nadziei z zupełnym przygnębieniem wsunął nos w futro.

Wpadli do wsi. Wesole i ożywione psy wybiegały z opłotków i szczekając zajadłe, a z przekonaniem, rzucały się pod nogi klaczy. Baby z wysoko podwiniętymi rękawami koszul myły w podwórzach niecki i makutry²⁵ i zawieszały na płotach świeżo wytrzepane pierzyny, zatrzymując się na chwilę, aby przyjaznym uśmiechem witać kłaniających się paniczów. Dzieci przedświątecznie ożywione i upaprane kopały się w śniegu, napelniając powietrze wysokim dźwiękiem śmiechu.

Na drzewach parku leżała ciężka okiść, przyginając ku ziemi srebrzyste gałęzie.

²⁵makutra — gliniane naczynie do ucierania maku. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XVI. O ŚW. MIKOŁAJU, O SZYSZKACH I O WARTOŚCI ŻYCIA

W świętego Mikołaja wierzyła już naturalnie tylko Ania, ale i ona miała co do jego ucieleśnienia tu, na ziemi, poważne wątpliwości.

Zdarzyło jej się, że zobaczyła olbrzymią choinkę na saniach, przez Gabra przywiezioną z lasu. Chwila ta była dla niej przełomową. Prosto z podwórza, w śniegowcach i golfie powędrowała aż do sali jadalnej i tam z goryczą oznajmiła zebranej rodzinie, że: „choinkę już przywieźli z lasu, ale wcale nie »sięty« Mikołaj, tylko po prostu Gabro”.

— A cóż ty myślałaś? — zapytał drwiąco Tom.

Natychmiast jednak kwestię wyjaśniła matka. Powiedziała, że o tym, iż św. Mikołaj schodzi aż na ziemię, mówi się tylko małym dzieciom, tak samo jak im się opowiada bajki. Żeby była niespodzianka i tajemnica. Małe dzieci również często nie są w stanie zrozumieć, że należy być grzecznym tylko dlatego, że wszelkie zło jest brzydkie i martwi rodziców i Pana Boga. Więc im się mówi o św. Mikołaju, aby oczekiwały od niego nagrody i kary, która może je spotkać w najpiękniejszym dniu roku.

Wszystko to niby bardzo dobrze, ale Ani zrobiło się strasznie przykro.

— Jeżeli chcesz, to w tym roku sama już będziesz z nami ubierała choinkę — powiedziała matka.

Ale Ania nie chciała. Sama nie wiedziała dlaczego, ale nie chciała. Woląla siedzieć w swoim pokoju i martwić się wówczas, kiedy inni ubierali choinkę w dużym salonie.

Wszystko tam było matowo białe, bo za oknami padał śnieg.

Choinka sięgała aż po samo sklepienie, a Gabro bardzo był z niej dumny.

Przyszedł za nią aż do salonu, żeby ją należycie ustawić. Nie ufał pod tym względem Łukaszowi. Opowiedział chłopcom i Marcie, że kilka lat temu Łukasz obciął wybraną i oprawioną przez niego choinkę przynajmniej na pół „arszyna”, bo twierdził, że się nie zmieści w salonie. „A ja dobrze wiedział, że się zmieści! I cóż się pokazało? Że akurat o pół arszyna była za niska”.

Łukasz słuchał tej opowieści z ironicznym uśmiechem. Rzekł, że „jak taka wysoka, to wszystko jedno nie widać, co na czubku sterczy, czy anioł czy gwiazda”, i że zresztą jest mu ta kwestia obojętna. Odkąd zwolnili go z wojska z powodu utraty jednego oka, w ogóle dużo rzeczy było mu obojętnych i o nic się bardzo nie spierał.

Wuj Miś w ubieraniu choinki brał bardzo czynny udział, nawet włąził na drabinę, choć matka powtarzała mu ciągle: „Misiu mój najdroższy, nie męcz się, bo będziesz miał wieczorem większą gorączkę”. W ogóle zakazał sobie dnia tego mówić o gorączce.

— Dzisiaj jest Wigilia — powiedział i o niczym innym nie chciał słyszeć.

Marta zaproponowała, żeby choinkę ubrać tylko watą i srebrnymi niciami. Czytała taki opis w książce i pomysł wydał jej się bardzo poetyczny. Ale wuj Miś orzekł, że to „Bóg wie co!” — ma być choinka, to niechże będzie przyzwoita, taka jak była od wieków. Z jabłkami, orzechami, z girlandami. I żeby na niej wisały aniołki i koszyczki pełne cukierków, pierniki lukrowane i pomarańcze. Słowem wszystko, co powinno wisieć na uczciwej choince.

A już szczególnie pożąlane szyszki.

— Nie rozumiem, dlaczego ty nie ubierasz choinki? — powiedział Olek do Naty (bo naturalnie cały Hołowin zjechał do Niżpola na święta). — Czy może uważasz, że już jesteś za dorosła na tego rodzaju przyjemności?

— Uważam, że dosyć już was się koło niej kręci — odpowiedziała Nata i dalej bujała się w biegunowym fotelu, który sobie przyciągnęła z hallu.

Ali zaś uważał, że wszystko to na nic. Wieszał wprawdzie czerwone jabłka za ogonki owiązane włóczką, zatykał świeczki i okładał gałęzie watą, ale ciągle proponował, żeby całą choinkę ubrać tylko świeżymi kwiatami. — Taka ich masa w cieplarni hołowińskiej!

— To byłoby szkaradnie, mój chłopcze — powiedział na to wuj Miś, który właśnie starał się nadać szczytowej gwieździe pozycję pionową. — To byłoby wręcz obrzydliwie. Zapłakałbym na ten widok. Kwiaty są rozkoszą dla oczu w ogrodzie, wazonie, na stole, przy sukni, na łące, w lesie. Ale zatknięte na igły choinki wyglądałyby beznadziejnie

głupio. Po prostu ni stąd ni zowąd. Jak motyle na szpilkach w ohydnych, oszklonych pudłach malowanych na zielono!

Ażeby się pocieszyć po tej perorze, wuj Miś z wysokości drabiny rzucił na Natę całą smugę złotych nici. Wplątały się w jej włosy, rozświeciły sukienkę z czarnego aksamitu i obnażone ręce. Nie poruszyła się wcale i patrzała leniwo na wuja Misia, który tańczył wokół choinki wraz ze swą drabiną.

Tom działał z metodą, systematyczny i milczący. Głównie zajął się szyszkami. Wieształ je bardzo symetrycznie, odmierzając odległość dłonią. Przywiązywał je kolejno wszystkimi kolorami włóczki. Nigdy nie powiesił obok siebie dwóch szyszek na jednakowym kolorze.

Wuj Miś podał siostrze z drabiny malutką gondolkę ze srebrnych drucików i powiedział:

— Cały miesiąc marzyłem kiedyś o tym, że w takiej gondoli przepłynę ocean indyjski i nie ruszałem jej z drzewka, bo się bałem, że natychmiast zrobi się naprawdę taką maleńką!

A matka, która właśnie przyszła z podwórza i miała jeszcze śnieg na włosach, powiedziała, że w salonie pachnie żywicą i woskiem, złotą farbą i jabłkami. Pachnie dzieciństwem.

Gdy zrobiło się szaro, wszyscy poszli do oficyny, gdzie w wielkiej izbie czeladnej była choinka dla wiejskich dzieci. Na ławkach pod ścianami leżały równiutko pozawijane paczki z prezentami. Choinka paliła się setkami świeczek od podłogi aż po pułap, a blaski ich odbijały się w szeroko otwartych oczach chmary dzieciaków zapełniających izbę. Tylko niewiele matek wpuszczono z dziećmi, bo nie było miejsca. W jednej części izby zebrała się służba folwarczna, pięknie przybrana i wesoło dowcipkująca — resztę izby zapełniały dzieci. Gwar i śmiech huczał jak wezbrany potok, gdy jednak weszli wszyscy ze dworu, na chwilę zrobiła się cisza, ale już zaraz potem znowu buchnęła wesołość, bo wszyscy zmieszali się razem w jeden, świąteczny tłum. Wuj Dymitr poszedł pomiędzy dzieci, a rodzice gwarzyli z babami i co starszymi ze służby.

Wkrótce jednak stróż Kundicz, specjalista od uroczystości, nie pozwolił na dłuższe pomieszanie stanów i wieków. Energicznie a sprawnie ustawił wiejskie dzieci rzędami, podług wzrostu, udekorował je po bokach babami, państwu wyznaczył miejsca na ławach, służbę zgrupował za nimi i wysunąwszy się wreszcie na wolne przed choinką miejsce, zaintonował kolędę.

Śpiewali tedy wszyscy razem o dzieciątku, które w żłobie leży i o trzech królach.

A potem rozdano dzieciom i wszystkim zebrany prezenty i słodycze.

Całe kosze jabłek, orzechów i pierników pięknie lukrowanych na różowo.

W jakiejś chwili, gdy zrobiło się już w izbie nieźnośnie duszno i gorąco, matka kazała Nikowi namówić wuja Misia, by wyszedł z oficyny.

— Czy słyszysz, jak kaszle? — powiedziała — zaraz go wyprowadź.

Nik natychmiast ruszył w tłum i wyłowił wuja Dymitra w kącie, między świniarkiem a pastuchem.

Nie od razu zgodził się wyjść. Jeszcze chwilę spacerował między dziećmi, śmiejąc się do nich i zagadując, aż w końcu wyszedł niechętnie, rzucając siostrze pełne wyrzutów spojrzenia.

Za nim wysunął się Nik — nieodstępny towarzysz.

Naprzeciw oficyny wszystkie okna domu były oświetlone, a śnieg przed nimi błyszczał jasnymi kwadratami. Powietrze zupełnie było ciche i przejrzyste, a park stał nieruchomy i wyniosły.

Wuj Dymitr i Nik poszli sobie wyslizganą, gładką drogą, między zwałami śniegu, ku bramie. Była szeroko otwarta i świątecznie oświetlona.

— Nie masz pojęcia, jak ja strasznie nie chcę jechać — powiedział wuj Dymitr cicho. Pierwszy raz to mówił. Dotychczas zdawało się, że owszem, bardzo chce.

— Nigdzie na świecie nie jest tak ładnie — dodał jeszcze.

Nik zgadzał się z tym w gruncie rzeczy, ale wiedział, że to przecież nieprawda!

— W Indiach pewnie ładniej — rzekł z wahaniem.

— Nie — zaprzeczył wuj Miś.

— No, ale w Ameryce południowej.

— Także nie — powiedział cicho, ale nieodwołalnie wuj Miś.

— To po co wujaszek wszędzie tam jeździł? — z triumfem zapytał Nik.

— Czy ja wiem? — odparł — żeby się przekonać może. Ja zresztą zawsze chcę być tam, gdzie mnie nie ma — dokończył tak jakoś boleśnie, że Nik nie pytał więcej.

W sali jadalnej było tak jasno, że gdy się tam wchodziło z mrocznej sieni, trzeba było oczy mrużyć. Bo oprócz tego, że wszystkie lampy były zapalone, a na stole płonęły kandelabry, sztywne, białe i ceremonialne, jeszcze każda rzecz w pokoju zdawała się błyszczeć swoim własnym światłem. Mosiężne klamki u drzwi i posadzka, po której cały ranek ślizgali się na suknach Filipek z Hawryłkiem, zamieniając to odpowiedzialne zajęcie w zabawę, ku niechętnemu zgorszeniu Łukasza. Błyszczały czarne boazerie na suficie i bariery płonącego kominka. Kryształ i srebra na stole, i klamry na kozackich pasach lokajczuków. Nawet nogi chłopców w odświętnych lakierkach błyszczały na „własną rękę”, już nie mówiąc o rękach matki i ciotki Halszki, pełnych migoczących kamieni. Można było śmiało twierdzić, że jest to uczta światła.

Nik siedział obok wuja Dymitra, a z drugiej jego strony Nata. Posłyszał, jak mówiła:

— I ja odwiozę wuja do Helsingforsu.

— To twój święty obowiązek — odpowiedział, śmiejąc się.

Ale Nata się nie śmiała.

— Przywiozłam ze sobą rzeczy, malutki kufeczek — powiedziała poważnie. — Już mówiłam z ciotką i zgodziła się. Mademoiselle Lucette to przecież moja opiekunka, więc ja, jako kochająca wychowanka...

— A cóż twoi rodzice na to?

— Zgodzili się. Przecież to kwestia jednego tygodnia razem wzięwszy. Wyprawimy wujaszka i wrócimy spokojnie do domu.

— Tak, spokojnie...

— Właśnie — powiedziała Nata i oparła się o poręcz krzesła.

A potem ojciec wstał od stołu i wyszedł, a po chwili w salonie zabrzmiał dzwonek i drzwi się szeroko rozwarły, a z salonu napłynęła nowa jasność. To choinka ogromna i strzelista świeciła oślepiająco i odbijała się w posadzce jak fontanna płomieni.

Nik jednak nie miał najmniejszej ochoty do szukania swoich prezentów pod choinką. Wszystko nagle wydało mu się jakieś nierzeczywiste. Ta choinka i salon, te suknie białe, różowe, lśniące. I on sam, odbity w lustrach salonu, smukły chłopiec w marynarskim ubraniu. On czy nie on? Chyba ktoś obcy. Wydało mu się w tym morzu światła, że wszystko odpływa od niego i roztapia się jak śnieg w słońcu.

— Mógłbym ci dać cztery książki za twój flower, chcesz? — zapytał go z boku Tom.

— Cóż znowu! — zachnął się Nik. — Także concept! Oddaj zaraz.

— Bo mówiłeś przecie, że nigdy nie będziesz polował — rzekł z godnością Tomek.

— Tak, ale po co się wtrącasz w nie swoje sprawy? — i Nik wziął w drżące z radości ręce nowy, błyszczący flower, dar wuja Dymitra.

Ale w jakiejś chwili zobaczył, że wuj z Olkiem wysuwają się cichaczem z salonu. Przewiesił więc broń przez ramię i ruszył za nimi.

Szli na górę, do pana Andrzeja. W korytarzu i na schodach pusto. Służba jadła właśnie wieszczkę. Na strychu świeciły ostro kwadraciki okien, przez które padał księżyc.

— Niewesołe ma pan święta — powiedział wuj Dymitr, siadając przy panu Andrzeju na łóżku.

— Są tacy, którzy mają gorsze — odrzekł spokojnie.

— Tak! Ci w okopach na przykład albo bezdomni... A pojutrze już jedziemy w świat.

— Prawie nie mam odwagi tak bardzo pana narażać — wyszeptał legionista.

Wuj Dymitr roześmiał się cicho — powiedział, że życie tyle ma tylko wartości, ile się go naraża.

Do pokoju wsunęła się potem matka. Na sukni miała narzuconą futrzaną pelerynę. Podzieliła się opłatkiem z panem Andrzejem i ucałowała go w głowę. Siadła na brzeжку skrzyni, w świetle księżycy i podała panu Andrzejowi pudło bakalii, które musiał zaraz jeść, choć prawdopodobnie lękał je razem ze łzami. Kiedy już zdołał przełknąć cztery figi, humor poprawił mu się na tyle, że ciężko westchnął i chciał coś mówić o wdzięczności. Ale wuj Dymitr, który spostrzegł, na co się zanosi, nie dał mu przyjąć do słowa. Przywołał wszystkich do okrągłego okna mansardy i kazał im chwilę cicho patrzeć.

Niżpol tonący w świetle księżycy i śniegu, zaciszny i przeogromny, najrodzeńszy Niżpol — kawałek duszy własnej i serca treść najżywsza — roztoczył się przed ich oczami.

ROZDZIAŁ XVII

Ale Ty, Panie, który z wysokości —
patrzysz, jak giną Oyczyzny Obróńce.

O szóstej rano, kiedy nieprzenikniony mrok pokrywał ziemię, sprowadził ojciec pana Andrzeja omackiem po schodach i zawiódł go aż na koniec parku. Tam kazał mu się ukryć w małej, zawianej śniegiem kapliczce, między rzeźbionymi w drzewie świątkami o boleśnie powykrzywianych członkach. Potem wrócił do domu. Już zaczynało wstawać, bo pociąg odchodził 8.10 z dworca żytomierskiego.

W sieni Łukasz zapalał latarnię, a w piecach trzaskał ogień, kładąc na podłogę długie smugi czerwonego światła. Ojciec powiedział Łukaszowi, by kazał również zaprząć do jego małych, jednokonnych saneczek: „Odprowadzę panie kawałek drogi” — wyjaśnił mimochodem.

Zupełnie było jeszcze ciemno, kiedy siadano do sani. Do jednych matka z Natą i Olikiem, do drugich wuj Dymitr z Nikiem. Ojciec nakładał jeszcze w gabinecie papierosa do cygarniczki — powiedział, że natychmiast ich dogoni — żeby jechali.

Ale ani myślał gonić, chodziło mu tylko o to, by wobec służby wszystko układało się zupełnie naturalnie.

— Może by, proszę pana, ktoś pojechał z panem? — powiedział Łukasz. — Czy to przyjemnie samemu po ciemku powozić?

Ojciec jednak powiedział, że nie trzeba i pojechał oczywiście sam. Za bramą nawrócił wzdłuż parku i stanął pod parkanem, naprzeciw kapliczki. Zagwizdał w umówiony sposób i wtenczas przez parkan zaczęła przelazć zgrabna, wysoka panna w małym futerku i brązowej czapeczce, spod której wymykały się złote, utlenione loki.

— Bardzo z pana przystojna panienka — zaśmiał się ojciec i zapiąwszy baranicę na nogach, pognął rysaka.

Dopiero pod samą stacją, w zacisznej, ciemnej uliczce wysiadł pan Andrzej i z walizką w rękę poszedł piechotą. Ojciec zaś sam podjechał pod gmach dworca.

Można już było wsiadać do wagonów. Na stacji paliły się latarnie i lampy, nie rozświetlając wcale zamglonych, zaśnieżonych mroków. Pociąg stał, przysypany śniegiem i jakby wrośnięty w szyny. Ludzie ruszali się powoli, sennie, otrzepując wilgotny śnieg z rękawów.

Dla wuja Dymitra i pani Charłęskiej zarezerwowano osobny przedział. Od razu umieszczono w jego najciemniejszym kącie pana Andrzeja, który wsiadł do wagonu, jak tylko furmani przenieśli walizki z sani i odeszli.

Pierwszy dzień podróży zeszedł szybko, na licznych przesiadaniach, zapełniony przenoszeniem pakunków, wynajdywaniem miejsc, wołaniem tragarzy i niepokojem.

Dopiero dnia drugiego, gdy znaleziono się nareszcie w bezpośrednim, petersburskim wagonie, w którym mocą łapówki udało się zdobyć osobny przedział, wszyscy odetchnęli i humor powrócił.

Dzień był jasny, mroźny. Na zawianych, małych stacyjkach widać było ludzi tłukących rękami po bokach i tupiących w miejscu dla rozgrzewki. W oknach pierwszego piętra żony i córki zawiadowców stacji chuchały w zamrażnięte szyby, aby dojrzeć jedyną sensację dnia, przejeżdżający kurier. Wszędzie tych samych kilka bab otulonych w kożuchy i chusty, stojących z wyrazem rezygnacji pod dzwonkiem stacyjnym. Ten sam chłop w kożuchu baranim, z biczyskiem w rękę, rozglądający się po wagonach bez przekonania, ci sami Żydkowie zieleni z chłodu, ten sam samowar, widny przez zapoconą szybę bufetu.

Takich stacyjek jedna, dwie, cztery, pięć — dziesięć...

Na jednej z nich chłop w baranim kożuchu władował do wagonu jakieś tłumoki i podsadził jegomościa po uszy zatopionego w dachę²⁶. Jegomość ów grzmiał dłuższą chwilę

²⁶*dacha* — obszerne, sięgające do kostek futro a. futrzana peleryna z dużym kołnierzem, nakładane zimą na wierzch na inne ubrania. [przypis edytorski]

przez otwarte drzwi wagonu, a gdy je konduktor zatrzasnął, począł tuc się po korytarzu, otwierając wszystkie drzwi po kolei i wszędzie próbując, czy nie dałoby się jeszcze ulokować gdzie własnej osoby, tudzież ogromnej ilości swych walizek.

Wielokrotnie targał zamkniętymi drzwiami przedziału pani Charłęskiej i kłął szpetnie na brak porządku, wolnych miejsc i sprawiedliwości. Wreszcie wszystko przycichło, widocznie gdzieś się umieścił.

Nie przeczuwając zatem grożącego niebezpieczeństwa, wyszedł wuj Dymitr na korytarz i tu natknął się na burzliwego jegomościa, który siedział na szczycie piramidy swych tobołków, ułożonych w przejściu. Bystre oko jego wtargnęło momentalnie przez otwarte drzwi i od razu ryknął:

— To tu, panie, tylko pięć osób w przedziale, a drzwi zamknięte i nikogo się nie wpuszcza! Myślałem, panie, że to może jenerał jaki jedzie czy ki lichu, a to, panie, zwyyczajne cywile! I jakim prawem, pytam, zamykają się państwo?

Nagle rozpromienił się, uśmiechnął od ucha do ucha, skoczył z miejsca, naruszając równowagę swej walizkowej piramidy, wtargnął do przedziału i ściągając rękawiczki, grzmiał dalej, ale już najdobroduszniejszym tonem.

— A niechże mi łaskawa pani wybaczy moją niegrzeczność! Jak Boga Kocham, nie poznałem w pierwszej chwili! A toż to i pan Oleśnicki. Doprawdy, oślepiłem od tego mrozu czy co?

Matka uśmiechała się bezradnie zaniepokojonym uśmiechem, a wuj Dymitr stał we drzwiach gniewny i rozśmieszony.

— A gdzież to państwo jadą tak wszyscy razem? — pytał tymczasem rozlewny pan, cały w najczulszych uśmiechach. — Bo to widzę i młodzi panowie, i panna Oleśnicka, i... tu spojrzal pytająco na rzekomą mademoiselle Lucette i zawahał się.

— Pani jest francuską opiekunką Naty i nie rozumie po polsku — wyjaśniła matka, a chłopcy podziwiali pewność i niewzruszoną powagę, z jaką wygłosiła ten przyprawiający ich o konwulsje śmiechu pewnik.

— *Mademoiselle Lucette, voici notre voisin, monsieur*²⁷ Górski — dokończyła matka.

Młoda panna z wdziękiem skinęła złotowłosą główką.

— To państwo może pozwolą, że przysiadę się tu na moment. Potem może gdzie miejsce znajdę. Bo ja aż do Petersburga mam nieszczęście jechać. A państwo także?

— Także — rzekła z rezygnacją matka. — Brat mój wyjeżdża z powodu zdrowia do Szwajcarii. A mademoiselle Gaudin wezwana została do Berna przez swą chorą matkę. Jadą więc razem.

— Aha, i pan się będzie opiekował panią? — zauważył pan Górski i przyjrzał się młodej Szwajcarce z nowym zainteresowaniem. A potem zaczął opowiadać szeroko i zawile, jakie to mianowicie sprawy powołują go do stolicy Rosji.

Zaczem rozkwaterował się w przedziale na dobre. Poznosił swoje tobołki i pledy, zdjął śniegowce i dachę, a wszystko to czynił, przepaszając po stokroć panią Charłęską za swoją bezceremonialność i powtarzając co chwila grzmiącym głosem „a la gier, kom a la gier”²⁸ francuszczyzną spod Berdyczowa. A to zapewne na cześć Szwajcarki, bo w jej właśnie stronę spoglądał.

W końcu siadł przy niej i poradził od serca, żeby przecież nie wyjeżdżała do Szwajcarii! Bo to tyle kraju i morza zjechać trzeba, a tu na Ukrainie dużo jest dobrych ludzi, którzy nikomu nie zrobią krzywdy.

— A panienska ładniutka i gospodarna, to u nas męża znajdzie w jeden moment, choćby i grosika posagu nie miała!

Dziewczę skromnie spuszczało oczy i odpowiadało dziwnie wysokim głosem, że musi jechać, gdy matka chora wzywa. Przy tym takie rumieńce pokrywały raz po raz twarzyczkę, że pan Górski tajał jak śnieg w wiosennym słońcu, a chłopcy nie mogąc dłużej zdzierżyć, wypadli na korytarz i kulali się ze śmiechu między oknem i drzwiami.

²⁷*Mademoiselle Lucette, voici notre voisin, monsieur* (fr.) — panno Lucette, oto nasz sąsiad, pan [Górski]. [przypis edytorski]

²⁸*a la gier, kom a la gier* (zniekształcone fr. *à la guerre comme à la guerre*) — jak to na wojnie. [przypis edytorski]

Najwyraźniej bardzo się mademoiselle Lucette panu Górskiemu podobała. Gadał do niej bez przerwy, w języku coraz bardziej do francuskiego zbliżonym i udzielał rad i wskazówek na daleką drogę.

W jakiejś chwili skoczył do swej największej walizy i z jej wnętrza zaczął dobywać rozliczne wiktuały, które, znowuż przepraszając panią Charłęską, ustawiał na stoliku.

— Wdowiec jestem — mówił przy tej czynności — ale zjeść dobrze lubię, więc mam kucharza dobrego, choć złodziej, szelma. Ale czy to człowiek może się ustrzec przed kradzieżą w gospodarstwie kobiecym, będąc wdowcem? Chętnie bym się też ożenił... — i to rzekłszy mimo woli spojrzął na mademoiselle Lucette.

Tu już i wuj Dymitr nie wytrzymał. Chrząknął parę razy i wyniósł się co prędzej na korytarz, podczas kiedy młoda Szwajcarka zasłoniła usta chustką w ataku kaszlu, a matka co prędzej zaczęła szperać głęboko w swym otwartym neseserze. Jedna Nata siedziała spokojnie i patrzyła na pana Górskiego poważnymi oczami.

Zaraz jednak wrócił wuj Dymitr zrównoważony i przyjacielski i siadłszy koło jego mościa powiedział mu w zaufaniu, po polsku:

— Szkoda, że ta młoda nauczycielka wyjeżdża od mych braterstwa. To niezwykle miła i porządna panienka. Wprost niezastąpiona towarzyszką Naty. A jaka gospodarna! Świetnie szyje i ceruje, sam widziałem!

— Dymitrze, czy nie wiesz, jaka teraz będzie stacja? — spytała pani Charłęska tak groźnie, że aż w przedziale zrobiło się chłodniej.

— Nie wiem, kochanie — odpowiedział słodko wuj Dymitr i mówił dalej:

— Właściwie wcale nie ma wad. Słodka, dobra, łagodna i ładna jak obrazek.

— A że też jej państwo nie zatrzymają! — oburzył się pan Górski.

— Ba! Cóż zrobić! Skoro matka ją wzywa. Może jednak uda się nam sprowadzić ją z powrotem. Ogromnie się przywiązała do Naty, a Nata do niej! Nieprawdaż, Nato?

— Bardzo — odpowiedziała z oczami pełnymi łez, bo teraz już i ona pękała ze śmiechu.

— O, widzi pan! — rzekł z triumfem wuj Dymitr. — Nata płacze na myśl o rozstaniu.

Tego już było za wiele. Pani Charłęska wstała i groźnym głosem poprosiła panów, aby zechcieli opuścić przedział, gdyż ona i panienki chciałyby się trochę wyciągnąć na ławkach. Wyglądała w owej chwili jak bóg kary i pomsty, miotający oczami pioruny. Wuj Dymitr wyszedł zatem, rzucając siostrze spojrzenia skrzywdzonego niemowlęcia. Jegomość zaś jeszcze od drzwi poprosił rzewnie, aby panie zechciały zjeść jego pasztet z piklami i popić winem, które zostawia.

Mimo jednak wysiłków i grózb pani Charłęskiej komedia rozwijała się w dalszym ciągu doskonale. Pan Górski coraz to gorliwiej zajmował się panienką i coraz goręcej tłumaczył, że nigdzie nie jest tak łatwo o dobrego męża jak na Rusi. Twierdził, że nawet on sam zna pewnego starszego, a zamożnego pana, który bardzo chętnie ożeniłby się z taką właśnie jak ona panienką. I teraz to właśnie wykazał się cały takt i dobre wychowanie młodej Szwajcarki! Widać było, że myśl bardzo jej się podobała, zachowywała się jednak powściągliwie i z wielką godnością, niepozabawioną zresztą wdziękiem.

I jakaż była rada na tę bezwstydną bandę, rozbawionych dowcipnisiów? Daremnie biedna pani Charłęska przemawiała groźnym głosem i sztyletowała oczami, nikt nie zdawał się tego spostrzegać, a wesołość, doprowadzona do najwyższego napięcia, panowała w przedziale.

Los jednak, który niemniej od ludzi lubi płać figle, zajął się w końcu tą sprawą i ukrócił igraszki.

Wieczorem pani Charłęska zupełnie już stanowczo wyprosiła pana Górskiego z przedziału i całe towarzystwo usadowiło się, jak mogło najwygodniej, do snu.

Po pewnym czasie zrobiło się jednak tak niezmiernie gorąco, że Nik rozbudził się zupełnie, zlany potem. Wyszedł na korytarz i stanął pod oknem. Drzwi sąsiedniego przedziału były uchylone, a z wewnątrz dolatywała ożywiona rozmowa.

— Jak pan mówi, że ona się nazywa? — mówił ktoś po rosyjsku — Lucette? No to ja ją znam, tę pana śliczną panienkę. Siedziałem kiedyś w Hołowinie cały tydzień, jak była sprawa o serwituty, i widziałem pannę Oleśnicką i jej nauczycielkę, przy każdym jedzeniu,

a nieraz i w ogrodzie. Żeby była taka ładna, ta nauczycielka, wcale nie powiem. Ot, panna Oleśnicka, to krasawica!

— Dziecko i już, nie wiadomo, co wyrośnie. A jej nauczycielka, mówię wam, Nikołaju Wasyljiczu, to skarb, nie przyjrzelście się chyba...

Nik nie słuchał więcej. Błyskawicznie zrozumiał całą groźbę położenia. Rosjanin zechce na pewno powitać panią Charłęską — zobaczy Szwajcarkę, pozna, że to nie ona. Jeszcze cały prawie dzień muszą jechać razem, więc spotkanie jest nieuniknione. Nik skupił się, wyteżył myśl. Ani na chwilę nie przyszło mu do głowy, by zbudzić starszych i powierzyć im dalsze losy tej sprawy. Myślał, oparłszy czoło o przemarzłe szyby. Właśnie gdy pociąg wtaczał się na jakąś stację, Nik powziął postanowienie.

Cicho wsunął się do przedziału, zdjął swe futro i czapkę i wyszedłszy na korytarz, szczerze drzwi za sobą zamknął. Teraz czekał.

Dopiero gdy dzwonek zajączał na stacyjce, Nik z hałasem odsunął drzwi przedziału jegomości i nachyliwszy się do jego ucha, szybkim, nerwowym szeptem mu oznajmił, że wuj Dymitr dostał poufną wiadomość, iż pociąg ten przestoi dobrę na następnej stacji. Natomiast z tej stacji odejdzie za chwilę inny, bezpośredni — oni więc, wszyscy, już się przesiedli, a teraz jego przysłał do pana Górskiego z tą wiadomością. Potem, nie czekając wcale na decyzję grubego pana, zaczął ściągać jego walizy i futra, ostrym szeptem nagłąc go do pośpiechu. Sapiąc, jęcząc i trzeszcząc, zbierał się pan Górski i jednocześnie dzielił się otrzymaną wiadomością z przyjacielem, który zresztą sam już wszystko słyszał i wcale nie czekał na zachętę do przenosin. Nie upłynęła minuta, jak już toboły i futra leciały na peron, energicznie miotane rękami Nika, na głowy oglupiałych właścicieli. Pociąg już ruszał, Nik zatrasnął drzwi, zanim jego ofiary zdołały spostrzec, że on sam pozostaje w wagonie.

Teraz na Nika przyszła chwila zwątpienia. Siadł w korytarzu na kuferku i zamyślił się. To, co uczynił przed chwilą, wydało mu się nagle głupim, złym, niegodziwym figłem.

„No dobrze — bronił się wewnętrznie — ale przecież to był jedyny sposób!”.

Czy jednak miał prawo go użyć?

Zupełnie zgnębiony i niepewny wszedł do przedziału. Wuj Dymitr nie spał. Siedział w swym kącie oparty o futra, a oczy błyszczały mu gorączką. Nik, siadłszy obok, szeptem opowiedział mu o wszystkim. Gdy doszedł do miejsca, jak wyrzucał na peron paszтет, jabłka, kalosze i butelki wódki urzędnika, wuj Miś począł formalnie pękać ze śmiechu. Aż płakał, wcisnąwszy głowę w futra i powtarzał przerywanym głosem.

— Nie, co za widok, co za widok!

Nik się zirytował.

— Dobrze! — rzekł ze złością. — Ale czy ja miałem prawo to zrobić?

Wuj Miś uspokoił się natychmiast.

— No, a dlaczego zrobiłeś? — zapytał.

— Żeby ocalić pana Andrzeja i nas wszystkich.

— Sam więc widzisz — powiedział. — Uczyniłeś dwóm ludziom grubą przykrość, po to aby ocalić jednego, a nawet także dwóch, od możliwej śmierci. Wybrałeś mniejsze zło, z dwojga złego. A zresztą zapamiętaj sobie jedno, mój drogi, że dla sumienia nie istnieją sprawy złe, tylko złe intencje. Zła wola, zła wola — powtórzył parę razy.

I już potem nie zaszło nic, aż do samego Helsingforsu. I tak błyskawicznie jakoś a męcząco układało się wszystko. Krótki postój w hotelu — powrotna jazda na stację i pożegnanie. Bolesne, gorące, żarliwe. Bezładne słowa rzucane sobie nawzajem, ręce splatane na mgnienie w mocnym uścisku, lzy zatajone w gardle i ostatnie spojrzenie w ukochane, oddalające się oczy. I koniec.

Do hotelu wrócili: matka, Nata i chłopcy. Trzeba było spędzić noc w Helsingforsie.

Matka położyła się na kanapie i patrzyła w przeciwległą ścianę zamglonymi oczami. Nata chodziła dokoła stołu cichym, miarowym krokiem.

Nik pod oknem przewracał kartki ilustrowanego dziennika, jedną po drugiej, prawie bezmyślnie. Okopy, generałowie, armaty, cesarz przed frontem, znowuż okopy... A na jednej białej karcie zobaczył szereg małych, okrągłych fotografii. Przeglądał te twarze młode, uśmiechnięte, patrzące żywymi oczyma. Czytał nieskończenie długi szereg nazwisk i dat, nazw miejscowości jakichś głuchych, nikomu nieznanych. Pracowicie badał w pamięci, gdzie by to być mogło.

I zobaczył w jakimś szeregu dwie twarze, jedną przy drugiej. Spojrzały na niego z tej karty oczy znajome. Ogromne oczy niechętne a uważne i te drugie, bystre, harde, zaczepliwe.

Nik zatopił całą myśl w tych dwóch fotografiach, badał je najuważniej, wahał się, przymykał powieki, szukając w głębi pamięci i znowu patrzył, nie mogąc jeszcze uwierzyć!

Wypłynęło z jakiejś tajni wspomnień, odległe, zasłyszane zdanie: „bo ja, widzisz, mój młody przyjacielu, nawet za ojczyznę niechętnie, bardzo niechętnie...”.

Bardzo niechętnie oto złożyli ci dwaj swoje życia młode. Niechętnie, z rozpaczą w duszy, w niezłomnym poczuciu obowiązku, z męką straszliwą i nieugiętą wolą — złożyli je.

CZĘŚĆ III. „JA SIĘ W CHWILI OFIAR- NEJ JAK KADZIDŁO SPAŁĘ”

ROZDZIAŁ XVIII. OSTATNI BALIK

Balik urzędowało się wtedy, gdy nic innego nie było do roboty, deszcz padał, a w każdym kącie domu siedziała nuda.

Właściwie teraz, to baliki urzędowała już tylko Ania, ale zawsze się jakoś wszyscy o tym zwiedzieli i ścigali, nastroszeni pogardliwie i krytycznie.

Zresztą od czasu wojny, a już szczególnie rewolucji prawie nie urzędowało się żadnych uroczystości nawet dla Ani, toteż naprawdę nie wiadomo, jak to się stało, że tego właśnie dnia Ania wydawała balik.

Pożal się Boże, co to był za balik! Jakaś raczej nędzna jego imitacja!

Ani migdałów, ani rodzynków, ani fig, w ogóle nic takiego! Trochę czekolady (kuchennej), śliwki na rożenkach, konfitury, cukier w kostkach do robienia karmelu i podobajże już nic więcej.

Ania z panną Marią nakryły stolik serwetką i poustawiały to wszystko na talerzykach. Przygotowały tartkę, rondelki i miały się zabrać do roboty, kiedy Ania poczuła nagle, że już jest za duża na tego rodzaju rozrywki.

— Wie pani co, panno Mario? — powiedziała. — Nie będę robić kotletów z czekolady ani kartofli z migdałów. Tak sobie to wszystko zjem i już.

Panna Maria się zgorszyła.

— To cóż to za balik w takim razie? — zapytała.

— Żaden — odpowiedziała Ania — ale ja już mam dziewięć lat i zresztą jest wojna.

Do pokoju weszli Tom i Marta, którzy wałęsali się po domu bez celu i patrzeli w coraz to inne okno zalane deszczem.

Tom powiedział, że wprawdzie na świecie jeszcze jest wojna, ale tu, u nich, już nie. Nie ma nawet już i rewolucji — przyszli Niemcy i ukrócili wszystko. Skończyły się czasy niepokoju, pogromów i wszelkich bolszewickich strachów.

— I naprawdę to cud Boży, że Niżpol ocalał — powtórzyła po raz setny Marta.

Zawsze to powtarzała, ile razy się mówiło o burzy, która szalała na Rusi, zanim weszli Niemcy, i za każdym razem serce jej zalewała wdzięczność. Bo jakże! Wszystkie prawie dwory naokoło spłonęły do fundamentów albo leżały w gruzach, powalone rękami chłopów i powracających z frontu rozbestwionych wojsk, a jeden Niżpol stał cały, nienaruszony, taki sam jak dawniej, kiedy nad ziemią świecił się pokój.

— To wszystko dlatego, że nie uciekliśmy i że rodzice są dobrzy i sprawiedliwi — oznajmił, również po raz setny, Tom, ten pewnik ogólnie w Niżpolu uznany.

Ania miała w tej kwestii swoje zastrzeżenia, powiedziała, wydymając dolną wargę:

— Ale jak mogli, to ziemię nam zabrali, a oddali dopiero teraz, gdy musieli.

— Bo głupi tylko nie bierze, jak mu dają — powiedział Tom. — Raz rząd bolszewicki wydał prawo, że ziemia cała dla chłopów, to dlaczego nie mieli wziąć? Ty byś nie wzięła sklepu z zabawkami Grünbauma, gdyby ci powiedzieli, że masz prawo?

— Nie wzięłabym — stwierdziła Ania z pogardliwym wstrętem.

— Tak ci się zdaje — rzekł ponuro Tom — a ja bym wziął, bo co prawda bardzo by mi się przydał rower.

I z westchnieniem wyciągnął zza szafy stary, trzykołowy welocyped, który miał tę właściwość, że jechał tylko na prawo, skutkiem czego każda przedsięwzięta na nim podróż ograniczała się do ruchu dośrodkowego na przestrzeni metra.

Poza tym miał siodełko złamane, które przy jeździe boleśnie szczypało odnośną część ciała i niekiedy nadwyręzało w tymże miejscu majtki.

A zresztą, miły Boże! Czyż trzynastoletni chłopak nie hańbi się, jeżdżąc na trzykołowym welocypedzie? Toteż Tom nie jeździł naturalnie, tylko tak czasem z nudów wyciągał go zza szafy i poprawiał na użytek Ani.

— Cóż to? Urządzać balik? — zapytał Nik, uchylając drzwi.

— Bo już trzeci dzień deszcz pada — usprawiedliwiła się z zażenowaniem Ania.

— To bardzo dobrze, mam piekielny apetyt na palony cukier — ucieszył się Nik i skoczył do stolika.

Zapalił świecę, lewą ręką ujął nóż, prawą kawałek cukru i przypalał go o płomień. Żółte i brązowe krople karmelu układały się na gładkiej powierzchni noża.

— Przytykaj do płomienia, to będą smaczniejsze — poradził Tom, który poniechał beznadziejną sprawę zdecydowanie prawicowego welocypedu i przyglądał się pracy Nika z miną rzeczoznawcy.

— Tak, ale zaraz okopci się cukier — przestrzegła Marta.

— Nie okopci się, zaraz ci pokażę — i Tom, zapaliwszy drugą świecę, zaczął topić cukier na własny rachunek.

Marta siedła na dzieciennym stolyczku i od niechcenia pojadała śliwki, pełna jakiegoś zniechęcenia i deszczowego smutku.

W pokoju brakowało już tylko Olka, ale Olek od skończenia gimnazjum mało udzielał się rodzeństwu, całymi dniami przebywając z ojcem i na folwarku.

Teraz jednak przyszedł, nie żeby użyć baliku, ale tak sobie. Była niedziela, więc nic się nie działo w gospodarstwie, deszcz padał uprzykrzony. Już nie chciało się ani czytać, ani mówić z ojcem o wojnie, Polsce i Niżpolu, ani czyścić fuzji, czystej już jak sumienie noworodka.

A w dzieciennym pokoju podobno odbywał się balik. Więc przyszedł.

— Bardzo nędzny macie balik — powiedział, dłubiąc rożenkiem w czekoladzie. — Tak, tak, nie chciałbym was zmartwić, ale nie mogę tego dłużej ukrywać, że uważam ten balik za zupełnie nikczemny.

Nikt się zbytnio nie przejął tą przesadną krytyką, bo nikomu już na tym baliku nie zależało. Panna Maria tylko powiedziała, choć bez przekonania, że lepszy taki jak żaden.

— W zimie, jak się już ustali spokój i znowu nastaną dobre czasy, to sobie urządzimy lepszy.

— W zimie to już pewnie będziemy w Warszawie, o ile naprawdę skończy się ta wojna, i nie takie baliki będą nam w głowie — rzekł Nik. — Zresztą co to można wiedzieć! Naprawdę na świecie teraz taka kasza, że niepodobna się w niej rozeznąć. Na przykład jak daleko sięgną granice Polski?!

— Ty zawsze tak mówisz, jak gdyby Polska już była niepodległa — rzekł Olek. — A przecież siedzą jeszcze Niemcy w Warszawie i poradź tu sobie z nimi bez wojska, bez armat i bez pieniędzy. To tylko teraz wiadomo, że na wszystkich frontach Polacy się biją i wszędzie nadaremno!

— To jeszcze zobaczymy! — mruknął złowrogo Nik.

Tomkowi tymczasem sprzykrzyło się topienie karmelu i wałęsał się po pokoju z rękami w kieszeniach. Otworzył szafkę z zabawkami i kiwał głową, przypominając sobie czasy, gdy szafka ta służyła jego celom. Wówczas panował w niej wzorowy porządek. Na jednej półce zabawki, na drugiej farby i ołówki, na trzeciej mogące się kiedyś przydać nieużytki. Dziś — pożałuj Boże! Wszystko razem skłębione, porzucane! Spod brudnego niedźwiedzia wyzierają kalkomanie, miseczki z farbami, przewracane na atlasowej sukience lalki, piłka wciśnięta między klocki, a Kuchenkę...

— Aniu, jesteś niechluj! — powiedział Tom i zamknąwszy z pogardą szafkę, podeszedł do okna.

Już deszcz nie padał, choć niebo było jednostajnie szare.

— Możemy wyjść — skonstatował z ulgą. — Nie pada.

Wyszli zatem wszyscy, bo już naprawdę nie można było usiedzieć w domu. Nogi wprawdzie grzęzły w błocie, ale lepsze to niż rozplaszczanie nosów o szyby.

Na podwórzu rzuciły się na nich stęsknione psy i skakały wokoło, raz po raz łapami rzucając się na piersi i starając się językiem dosięgnąć policzków.

Właściwie na takie uszczęśliwione psy nie ma rady, trzeba znosić te karesy, jeśli się nie chce stracić ich zaufania i przyjaźni.

Przed domem spotkali rodziców.

— Chodźcie, dziewczynki — powiedziała matka — pójdziemy odwiedzić naszych chorych na wsi.

Marta wzięła z rąk matki koszyk, Ania uczepiła się jej ręki i poszli w kierunku bramy.

Ojciec z chłopcami wyszli również za bramę i posuwali się wolno naprzód drogą koło chmielu, z daleka patrząc na brnące po błocie matkę i dziewczynki.

— Chwilami straszno jest pomyśleć, że jesteśmy tu teraz w okolicy zupełnie sami — powiedział Nik. — Sam jeden Niżpol jak oaza na pustyni. Wszyscy pouciekali, wszystko popalone, rozgromione! Po Hołowinie śladu nie zostało! Ale właściwie dlaczego wuj Ryszard nie wraca teraz i nie zabiera się do odbudowy?

— Wuj Ryszard nie wierzy w trwałość dzisiejszego stanu rzeczy. Jest przekonany, że Niemcy wyjdą, a rewolucja rozpęta się na nowo. Zresztą wiecie, jak bardzo jest wytrącony z równowagi. Kiedy mówi o Hołowinie i pogromie to trzęsie się ze złości. Jak tu w takim stanie ducha zabrać się do twórczej pracy, wśród tych samych ludzi, którzy z ziemią zrównali mu wszystko.

— Strasznie wygląda Hołowin — powiedział Olek z brwią groźnie ściągniętą. — Rzeczywiście, że patrząc na te zgliszczą, sterczące mury, ruinę, można się trząść z bólu i złości.

— Gdyby wujostwo nie uciekli przy pierwszym alarmie, to Hołowin byłby cały — powiedział Tom obojętnie.

— Pleciesz, mój drogi — zaprotestował ojciec — mało to naszych sąsiadów siedziało w domu do ostatniej chwili i przypląciło życiem tę odwagę?

— A Niżpol? — upierał się Tom.

— Niżpol to wyjątkowo spokojna wieś, a przy tym tak szczęśliwie, na uboczu położona, że powracająca z frontu armia nie zawadziła o nas. Ale teraz muszę wracać do domu, idźcie dalej, chłopcy, i wróćcie z matką.

I ojciec zawrócił.

Na zachodzie przecierało się niebo. Złocista smuga wysuwała się spod ciężkiej płachty chmur. Powietrze poróżowiło nagle i na każdej rzeczy położył się ów różowo-złoty odbłask. Zrobiło się prawie ciepło. Chłopcy porozpinali kożuszki i szli powolutku, noga za nogą. Milczeli. W ogóle w ciągu ostatniego roku nauczyli się dużo milczeć. Nikt nie miał ochoty do rozmowy w owych czasach, kiedy każdej chwili dnia i nocy wisiało ponad głowami niebezpieczeństwo. W owych dniach, kiedy raptem zostali pozbawieni ziemi, kiedy każdy sięgał po ich dobro jak po swoje, kiedy po nocach budziły groźbę śmiertelną luny palących się sąsiednich dworów. W owych dniach nikt prawie nie mówił do nikogo.

A i spokój przywrócony po wkroczeniu na Wołyń Niemców nie rozwiązał ust i nie rozweselił serc. Tyle było wokoło żałoby, ruiny, zgliszcz! Od wuja Dymitra od dawna nie nadchodziły wiadomości. Hołowin z ziemią zrównany i opuszczony, a jego mieszkańcy nieobecni, z dalekiej Polski rzadkie pisali listy. I ta przeszłość wczorajsza zaledwie, a tak okrutna.

Nie ciężło duszy wspomnienie, że bywało zeszłej zimy chłodno i głodno, że nieskończenie długie wieczory trzeba było siedzieć po ciemku, z braku światła, że gorzki był smak nieosłodzonej kawy, a chleba nie widziało się czasem i dni kilka.

Ale paliła serce krew, którą nasiąkła ziemia, ale oczy piekły tylekroć oglądane pożary, ale kamieniem legły na pamięci na kamień rozebrane siedziby ludzkie, ale jak niezgojona rana jątrzył się w duszy żal i wstyd, że ulec trzeba było przemocy, oddawać bez protestu ziemię najbardziej własną, wyrzekać się prawa swego i patrzeć własnymi oczami na pohańbienie wolności człowieczej i dumy.

Toteż mimo że wszystko teraz powoli wracało do normy, w domu dostatniej było i jak dawniej jasno i ciepło, mimo że, zdawało się, już nigdy czasy te okropne nie wrócą — jakoś w sercach nie było spokoju ani wesela.

Właściwie miało się nawet ochotę porzucić to wszystko i wyjechać. Dokąd? Nie wiadomo, i nie wiadomo po co. Ale naturalnie i mowy nie było na serio o wyjeździe teraz, kiedy wszystko na nowo trzeba było urządzać, poprawiać, zaczynać. Bo chociaż Niżpol nie uległ pogromowi i stał cały i nienaruszony, to jednak owe pół roku gospodarki chłopskiej, nieumiejętnej i rabunkowej, fatalnie zrujnowało wszelki ład i porządek niżpolski.

Szli chłopcy ścieżką po drugiej stronie rowu przydrożnego i zatrzymywali się naprzeciwko chat, do których wchodziła matka. Wtenczas Ania zbliżała się do nich i udzielała im poprzez rów nowin wiejskich. Że córeczka Pawluków zdrowsza, że u Tymoszuczki cała masa różowych prosiąt biega po izbie, a u Rozbickich Domcia taka chora, że mama

koniecznie chce im sprowadzić doktora. Ale nie chcą. Mówią, że mama najlepiej poradzi, a co tu można poradzić, kiedy to nieuleczalna choroba.

— Jaka?

— Nie wiem jaka, ale nieuleczalna — powiedziała Ania.

Od strony Żytomierza, zza krochmalni wyjechał wóz i pędził ostro, rozpryskując błoto. Siedzący w nim trzej chłopcy rozmawiali głośno, śmiejąc się i pokrzykując — widocznie trochę napici. Już byli wyminęli chłopców, gdy nagle wóz stanął. Jeden z chłopów wykręcił się w siedzeniu i krzyknął donośnie.

— *A wot i nyma wże nimciw w Żytomire*²⁹! — czekał chwilę na jakąś odpowiedź, ale chłopcy milczeli i stali jak wrośli w ziemię.

— *Nyma nykoho, teper nam bude panowanie*³⁰! — zawołał drugi, potrząsając bitem, a trzy pary krwią nabiegłych, złowrogich oczu wczepiło się w dzieci stojące prosto, z głowami podniesionymi do góry.

— *A wam, konec*³¹! — rzucił jeszcze twardo ten, który trzymał konie.

Olek spokojnie i powoli odwrócił się do Ani i zapytał naturalnym głosem, z trudnością otwierając ściśnięte zęby.

— Aniu, czy mama jeszcze idzie do kogoś, jak skończy u Rozbickich?

— Jeszcze do Motry — powiedziała Ania i uśmiechnęła się, pokazując białe zębki.

Za ten uśmiech, za ten uśmiech wesoły i odważny, Olek byłby ją przycisnął do serca.

— To chodźmy razem — powiedział Nik i natychmiast przelazł przez płot, i przeskoczył sprężyste rów w takim miejscu, że znalazł się tuż koło wozu.

Za nim przeskoczyli bracia i wszyscy razem poszli bez pośpiechu w kierunku chat, nie odwracając głowy.

ROZDZIAŁ XIX. OSTATNI SREBRNIK

Noc i ciemność.

Za oknami straszny wicher i deszcz łomoce w szyby. Dzieci i służba kładą się spać w ubraniach, a rodzice i Olek nie kładą się wcale.

Z wieczora na wsi rozpoczęły się wielkie zebrania. Przyjechali jacyś bolszewicy delegaci, jacyś żołnierze. Bóg wie skąd, z sąsiednich, dawniej rozgromionych wsi pościągali chłopcy — Sokołowieccy, z Zorokowa, Holijówki... Filipek zdyszany i mokry, z oczyma na wierzchu i czerwoną twarzą opowiadał, szcękając zębami, że chłopcy niżpolscy, szczególnie starzy, chcą tylko tyle, żeby pan i pani, i dzieci wyjechali. Żeby poszli sobie precz, w świat, tylko tyle. Ale tamci, z Sokołówki i Zorokowa, delegaci i żołnierze krzyczą straszne rzeczy. Chcą palić i zabijać — wytępić pańskie nasienie. Jak tylko wezmą górę i będzie naprawdę źle, to przybiegnie ostrzec Hawryłko. On tam na zebraniu udaje, że strasznie jest na panów zawzięty. On, Filipek, to by i nawet że nie potrafił. Ot tak czasem to krzyknie coś niecoś, żeby go nie wzięli za szpiega i dopuszczali do zebrania, ale naprawdę to nie ma serca do takiego udawania.

Łukasz i Gabro chodzą pod bramą i uważają, a przy drugiej bramie i na folwarku — Kundicz, stróż, i Wincenty, ogrodnik.

Wieczorem panna Maria i klucznica błagały rodziców, żeby nie czekali dłużej. Cóż to znaczy, że dotychczas wszystko zawsze kończyło się dobrze! Jeszcze przecież nigdy nie było we wsi tylu agitatorów, żołnierzy i figur spod ciemnej gwiazdy. Tacy najlepszych podjudzą, najrozsądniejszych otumanią. Do złego namówić zawsze łatwo, do zbrodni pchnąć nie sztuka w taką ciemną, piekielną noc. A wódka po co się leje i od czego są pięknie brzmiące hasła? Mało to już razy rozpalali nimi dusze do czerwoności, że już same potem niosły pożogę?

Ale ojciec nie chciał. Powiedział, że tyle się przetrwało na stanowisku, przetrwa się jeszcze i tę burzę. Byle nie stchórzyć i sile fizycznej przeciwstawić siłę moralną.

— Tak, tak — potwierdziła matka, błada jak papier. — Pracowaliśmy całe życie, nie skrzywdziliśmy nikogo — powtarzała raz po raz.

²⁹*A wot i nyma wże nimciw w Żytomire* (z ukr.) — No i już nie ma Niemców w Żytomierzu. [przypis edytorski]

³⁰*Nyma nykoho, teper nam bude panowanie* (z ukr.) — Nie ma nikogo, teraz my będziemy panować. [przypis edytorski]

³¹*A wam, konec* (z ukr.) — A z wami koniec. [przypis edytorski]

Potem chodziła wraz z Martą, klucownicą i panną Marią po domu i gromadziła najcenniejsze i najpotrzebniejsze rzeczy do pak i kuferków.

Około północy deszcz i wiatr ustały i dopiero wówczas naprawdę groźne wydały się głosy dochodzące ze wsi. Od czasu do czasu padał strzał i leciało echo pijanych wrzasków. Dopiero wówczas ojciec zaniepokoił się naprawdę.

Dzieci już spały. Tom przysiągł sobie, że przez całą noc oka nie zmruży, toteż prawie od razu zasnął. Na razie więc zupełnie nie mógł zrozumieć, o co to chodzi. Ktoś trząsał go za ramiona — wołał zduszonym głosem: „Tom, obudź się, obudź się na miłość boską”. — To był Olek. I Olek również pomógł mu nałożyć futro i kalosze, wynalazł czapkę, do ręki dał kuferek.

Ojciec zgasił ostatnią lampę i wyprowadził wszystkich na gwałt, co prędzej, przez drzwi gościnnego pokoju, prosto w park.

Potem trzeba było biec po zwirowanych, mokrych ścieżkach, w najgłębszej ciemności, przez cały park, aż na polną drogę.

Huczały strzały w głuchej nocy i słychać było, tak, wszyscy słyszeli, jak pękała brama pod naporem ciosów. I dziki wrzask.

Wtedy już siadano na wozy, które przez tok przeprowadzili Gabro i Wincenty. Błoto chlapało pod kołami, wozy skrzypiały, ojciec ostrym głosem wydawał rozkazy, a wszyscy w śmiertelnym milczeniu je spełniali.

Potem jechano polami do lasu — na leśniczówkę. Ojciec mówił, że tam trzeba będzie przeczekać niebezpieczeństwo, że potem wróci się do domu. Gdy odjadą żołnierze i delegaci pójdą sobie precz.

— Byle nie spalili — mówił ojciec.

— Ale na pewno spala — powiedział Tom do Ani i obejrzał się raz jeszcze, choć nic nie było widać. Taka beznadziejnie czarna, nieprzenikniona noc.

Wtenczas to, właśnie kiedy była mowa o paleniu, Nik przypomniał sobie sztandar. Tę chorągiew, którą kiedyś znaleźli w przekopie, pod kamieniem, a potem przechowywali w domu jak świętość i relikwię. Ten sztandar powstańczy rękami ich pradziada przed wrogami ukryty w ruinach zamku. Przypomniał go sobie i zdrętwiał. Jakże mogli zapomnieć o nim — wydać go we wrogie ręce spitego tłum! Zabrano wszystko co cenniejsze i pamiątkowe — klejnoty i papiery, srebra i obrazy z ram wydarte, a to, co stanowiło symbol odwagi i honoru, i miłości dla kraju — zapomniano! Chciał o tym powiedzieć ojcu, już nawet wyciągnął rękę, by go chwycić za ramię, gdy nagle powstrzymała go myśl, że ojciec gotów wrócić sam jeden, nocy tej, do domu, między tłum rozgorzały.

Nic nie powiedział.

Wozy wjeżdżały właśnie do lasu — było tak ciemno, iż ręki swojej własnej przed oczami nie można było dostrzec.

Nik przerzucił nogi przez drabinę wozu i lekko skoczył.

Nikt nie posłyszał plusku wody w zgrzytliwym jęku kół i drabin i wozy potoczyły się dalej.

A Nik zaczął biec z powrotem, ręką dotykając przydrożnego płotu, o którym wiedział, że prowadzi aż na folwark. Biegł całym pędem, rozchlapując miękkie błoto, potykając się, upadając w ciemności.

„Już są na pewno w domu. Już rozbijają szafy i biurka. Mój Boże! Jak to zrobić, jak to zrobić?” — myślał chaotycznie.

Jednocześnie czuł, że buty stają się już nie do zniesienia ciężkie, nasiąkłe wodą, oblepione lepkiem błotem.

Zwolnił biegu. Już widział niedaleko światła w oknach czworaków i ich odbłask na ścianie pustego domu ekonoma. Mijał te budynki powoli, starając się zebrać rozpierzchłe myśli. Przelazł folwarczną bramę, z trudem dźwigając ciężkie nogi i potem już szedł ociężale, popod budynkami, których chropowatych ścian dotykał w ciemnościach ręką.

Jeszcze jedną bramę trzeba było przeleźć, tę, która oddzielała folwark od rezydencji.

Już teraz widział poprzez nagie sylwetki drzew błyszczące światłami okna domu, już słyszał wyraźnie krzyki i te pojedyncze, bezsensowne strzały, które padały raz po raz, niby pogrózki pijanego człowieka.

Zatrzymał się.

Pan, Chłop, Dom,
Rewolucja, Ucieczka

Między stajnią, oficynami a domem przelewał się czarny tłum. Wyłamywano ostatnie drzwi, które z ostrym trzaskiem opadały na strony. Pośrodku podwórza, na gazonie rozpalano ognisko. Nik widział, jak setki rąk ciskało na stos meble, obrazy, książki.

W jakiejś chwili posłyszał stuk kopyt po podłodze stajennej — wyprowadzano konie.

Poczuł nagle, że musi się o coś oprzeć, że jest beźmiernie znużony i nogi uginają się pod nim. Ręką natrafił na litościwy, mokry pień drzewa i wsparł się na nim całym ciałem.

Zamknął oczy.

Ach, po cóż, po cóż tu powrócił, aby ujrzeć i zapamiętać na całą wieczność tę hańbę straszną!

Nie wiedział, ile czasu tak przestał, odrętwiały z bólu. Gdy otworzył oczy, zobaczył w łunie płonącego ogniska bijących się pod stajnią chłopów. Wszyscy krzyczeli ochryplymi głosami i tłoczyli wokół koni, które drżały i chrapały, przebierając nogami w miejscu.

Okna domu pryskały jedno po drugim, z wewnątrz wybijane pięścią.

— Jeśli teraz nie pójdę, to już będzie za późno, za chwilę będą palić — powiedział sobie Nik.

Spojrzał na siebie. Nie, w tym ubraniu niepodobna włączyć w tłum, najbardziej pijani i oślepieni szalem jeszcze go poznają po kożuszku na oposach, po bucikach wysoko sznurowanych!

Unikając oświetlonych miejsc, podszedł aż pod sam dom. Czekał. W jakimś momencie dostrzegł w tłumie Hawryłka i już tak się przemykał, by dotrzeć niespostrzeżenie do niego. Po wielu niefortunnych próbach zdołał pochwycić lokajczuka za rękę i wciągnąć go w cień.

Hawryłko ze zdumieniem wytrzeszczył oczy — ogłupiały i zaskoczony.

— Słuchaj mnie uważnie — wyszeptał mu nakazującym głosem Nik — w bibliotece, w szafie z książkami, w tej, co stoi pod ścianą salonu, na najwyższej półce, za książkami stoi skrzyneczka. Wyjmiesz z niej to, co jest w środku, sztandar, i przyniesiesz mi tu.

— A bo to mnie dopuszczają — powiedział Hawryłko jeszcze na wpół przytomny ze zdumienia.

— Przecież wszędzie łazisz, widziałem cię tu i ówdzie — rzekł Nik.

— Tak to ja łażę, ale żebym chciał do szafy, to zaraz z rąk wydrą i jeszcze nabiją.

— Nie nabiją. Zrobisz to sprytnie, jak gdyby nigdy nic. Niby to będziesz książki niszczyć. Skrzyneczki nie bierz, bo pomyślą, żeś znalazł pieniądze.

Hawryłko stał, patrząc spode łba w oczy Nika i nagle Nik zrozumiał jasno, że urwipoleć ten nie pójdzie i nie spełni rozkazu. Że może nawet przez niepojęty upadek wszelkiego człowieczeństwa zwoła oto ludzi i wyda im na pastwę młodego pana, towarzysza swych lat dziecińczych, przyjaciela, który dzielił się z nim ongiś każdą zabawką i darzył zaufaniem.

„Tak, tak, tego jeszcze tylko brakowało” — powiedział sobie Nik i poczuł, że coś niby wąż śliski i jadowity wślizguje mu się do duszy. Prawie mu się chciało zaśmiać, ale szczęki zaciskały się jak do placzu. Nagle raz jeszcze przemógł się i natężył wolę.

— Posłuchaj, co ci powiem — rzekł głosem stanowczym i twardym. — Jeżeli zamienisz się ze mną zaraz na kożuchy i czapki, jeżeli zostaniesz tu, nie ruszając się aż do chwili, gdy wrócę, jeżeli nie zdradzisz mnie, oddam tobie, tylko tobie, mój złoty zegarek i wszystkie pieniądze, jakie mam przy sobie. Jeżeli zaś mnie zdradzisz, zwołasz ludzi i wydasz, to i zegarek, i pieniądze, i futro, wszystko ci zabiorą i wydrą: to przecież wiesz sam. Nie próbuj także wydać mnie, jak już będę odchodził, bo wtenczas ja sam powiem im o zegarku i pieniądzach i jeszcze na zakończenie przypłacisz to życiem. Zrozumiałeś?

Hawryłko spuścił oczy i powoli zaczął ściągać kożuch — zrozumiał znakomicie.

Teraz Nik ubrany w kożuch Hawryłki i jego czapę, z włosami rozwichrzonymi i umazaną błotem twarzą, ruszył w tłum. Na szczęście nie widział wokół znajomych chłopów — sami obcy, jacyś okropni, rozwydrzeni, z obłąkanym wyrazem oczu.

Błądzącym, złodziejskim krokiem łaził po domu i dusił w sercu wzbierający gniew. Wraz z innymi, takie same przybierając dzikie gęsta, dotarł po schodach do biblioteki. Tu kręciło się najmniej stosunkowo ludzi, a zniszczenie już było ostateczne.

Podłoga, zasypana szkłem, skrzypiała pod butami. Brązowe popiersia Mickiewicza, Goethego, Homera, których zniszczyć nie były w mocy drżące od szaleństwa ręce, porzucane z piedestałów patrzyły z podłogi niewidzącymi, obojętnymi oczyma.

Dwóch chłopów wydierało z potrząskanych szaf w skórę oprawne książki i miotało je przez okna na płonące w dole ognisko.

Nik przyłączył się do nich, a obral szafę, do której przyszedł po swój skarb.

Nie zwracano na niego uwagi, toteż nie kryjąc się zbyt, wynalazł za książkami skrzynkę, wyjął z niej sztandar i ukrył go na piersiach.

I już potem nie był w stanie udawać. Nie mógł szarpać własnymi rękami tylekroć miłująco oglądanych kart, nie mógł już krzyczeć ani złorzeczyć. Odbiegła go wszelka siła, opuściła moc i rozważa. Stał oparty czołem o zimny kant półki i czuł, jak łzy, piekące łzy po policzkach płyną. Łzy bólu i wstydu, słabości i krzywdy, i gniewu strasznego, który uzewnętrznić zakazywał instynkt życia.

„I jeszcze w dodatku przekupiłem go, przekupiłem” — natrętnie dominowała ta myśl, spływając łzami.

Ale kiedy tak stał, bezsilny z cierpienia, zobaczył w kącie, prawie u swoich stóp dziwny widok.

Siedział tam na podłodze chłopak mały, umazany i uważnie, z namaszczeniem przewracał jedną po drugiej karty ilustrowanej księgi. Nad każdą ryciną głęboko medytował, przyglądał jej się, przekrzywiając głowę i wysuwając na bok język. Czasem wodził palcem po konturach, jak gdyby pragnąc sprawdzić ich wypukłość i przewracał karty dalej, obojętny zupełnie na otaczający ruch, głuchy na wrzaski, odgradzony od szalejących tłumów grubą, ilustrowaną księgą *Nowego Testamentu*.

Nik się otrząsnął, zawrócił i poszedł przed siebie. Już na nic nie patrzył. Ani na meble odzierane z obić, ani na ściany ordynarnymi rysunkami hańbione, ani na tysiączne drobiazgi, życia codziennego miłych towarzyszy, po których deptać oto musiał w swej bolesnej drodze.

Raz tylko się schylił, aby podnieść z podłogi i zabrać małą książeczkę w zamsz oprawną. Nie znał jej tytułu, nie spojrzął na kartki — podniósł ją z prochu i zabrał ze sobą na tulaćkę.

Przez cały dom przeszedł z głową podniesioną i srogim, wzgardliwym wejrzeniem. Nie krył się już przed nikim i wyszedł z domu, nie odwróciwszy się ani razu.

W głębokim cieniu murów wysypał na ręce Hawryłka umówioną zapłatę.

Ale kiedy już odchodził, wyczuł w kieszeni pod palcami okrągłą, twardą monetę. Zawrócił tedy i podał ją milczącemu chłopcu.

— Oto jeszcze jeden rubel — powiedział — zapomniałem o nim.

ROZDZIAŁ XX. OSTATNIE ZWYCIĘSTWO

— Panno Mario, na miłość Boską, niech pani zdejmie choć jedną spódnicę, a nałóż pończochy — powiedziała matka.

Wtedy dopiero wszyscy spostrzegli, że panna Maria ma na sobie przynajmniej pięć spódnic, każdą innego koloru i długości, a za to nogi bose tkwią w pantoflach.

I wszyscy się roześmiali z całych sił, z ulgą i westchnieniem, wszyscy bliźsi jeszcze od powrotu Nika, znękami niepokojem o niego, zgnębieni do ostatka krótką jego opowieścią.

Panna Maria położyła się ubrana, ale zdjęła pończochy — nie mogła spać inaczej — położyła sobie pończochy tuż pod ręką z mocnym postanowieniem włożenia ich natychmiast w razie alarmu. Zaledwie zasnęła, zbudzono ją gwałtownie. Pamiętała doskonale, że coś należy włożyć, ale co? Skoczyła do szafy i narzuciła spódnicę. Potem co prędzej ubierała w futro Anię, ale czuła, że coś w jej garderobie nie jest w zupełnym porządku, więc nałożyła jeszcze jedną spódnicę. Czynność tę powtarzała kilka razy, zawsze na wpół przytomnie. W taki to sposób znalazła się na leśniczówce tak oryginalnie przyodziana.

Komizm epizodu tego sprawił, że przecież można już było jakoś oddychać. Do tej chwili zdawało się, że wcale nie ma powietrza, że kamień stufuntowy leży na piersiach, że jakieś niewidzialne ręce ściskają gardło.

Panna Maria, nie bacząc na przesadną ilość swych spódnic, krzątała się po leśniczówce wraz z żoną gajowego i przygotowywała posłania. Bo przecież mimo wszystko trzeba było spać, aby wypocząć po ciężkich wrażeniach i nabrać sił do dalszego ich ciągu. Ale właściwie nikomu się spać nie chciało i jakoś wszyscy ociągali się wokoło kuchennego komina,

nie dając się skusić białościom nastroszonych poduszek i pierzyn pachnących sosnową skrzynią.

— Trzeba iść spać — konstatowała matka i nie ruszała się ze swego stołka przed ogniem, gdzie siedziała, trzymając Anię na kolanach.

— A jeśli oni aż tutaj po nas przyjdą? — zapytała Ania głosem nienaturalnie spokojnym.

Ojciec położył rękę na jej głowie i powiedział, że kolejno wszyscy będą czuwać na drodze.

— Możesz spać spokojnie — dokończył.

— Właśnie, że nie chce mi się spać — zaprotestowała — ale najlepiej by było, żebyśmy sobie zaraz pojechali gdzieś indziej. Do Warszawy — zdecydowała z przekonaniem. Warszawa była dla niej zawsze symbolem spokoju i porządku, ładu i bezpieczeństwa.

— I zostawiłabyś Niżpol na pastwę? — zapytał wrogo Tom.

— Przecież on już jest na pastwie — łzawo odparła Ania.

— Anno Mario, istoto, z którą mam zaszczyt być w bliskim pokrewieństwie — powiedział Nik, który siedział na komodzie, między papierowym bukietem i blaszanym pudełkiem i zajmował się wybijaniem piętami marsza na szufladzie — Anno Mario, czy nie uważasz, iż po męczącym polowaniu na pumy, jaguary i bizona należy nam się wypoczynek w cieniu białych namiotów?

Ania się uśmiechnęła i zlizwała łzę z kąta wargi.

— Idź spać, kobieto bezsilna i trwożliwa, wraz ze swoją siostrą Martą, która nie bacząc na tragizm chwili i przyzwoitość, zjada oto odgrzewane pierogi z kapustą, które ustawiła na stole przyjazna i życzliwa ręka cnotliwej Małaszki, żyjącej w wierze ojców swoich!

— Głupi jesteś — powiedziała Ania i zsunawszy się z kolan matki, podeszła do stołu, gdzie Marta w istocie pojadała pierogi z kapustą, wdychając ciężko.

A Nik zamknął oczy i chwiał się dalej na komodzie, uderzając lekko piętami w ściankę.

Zasypiając w niskich i dusznych izbach leśniczówki, zbyt ciasnej dla tylu osób, nikt z wygnańców dworu nie przypuszczał, że cztery długie miesiące wypadnie tu pozostać, a odejść stąd — na tułaczkę.

Dopiero w końcu marca następnego roku zdecydowali rodzice, że nie ma na co dłużej czekać. Że już wszystko skończone — wrócić nie będzie można do domu.

Cały kraj był w rękach bolszewików. Cały kraj płonął, krwią się zlewał, ginął z nędzy, chorób i rozpetanej złości.

A za Zbruczem, za Bugiem już się święciła Polska. Już tajne doszły o niej wieści. Że już nie ma w Ojczyźnie wroga, a wolność wykwitła z krwią oblanej ziemi. Więc po cóż było tutaj cierpieć z dala od Niej? Na co jeszcze czekać, czego się spodziewać? Czyż nie na tę wolność kraju milego czekało się tyle lat, przez tyle pokoleń! Cóż znaczyć mogła krzywda spopielałego domostwa wobec tego Słowa, które stało się Ciałem?

Ucichał więc w rozdartych sercach ból, a wszystkie marzenia, nadzieje, pragnienia biegly do granic Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Wyjeżdżano przed świtem, po nocy — wozami, bo śnieg już był stajał. Chodziło o to, aby nocą minąć wieś znajome, gdzie pierwszy lepszy chłop mógł poznać i wydać w ręce władz bolszewickich mieszkańców niżpolskiego dworu.

Bo o tym, aby można było wyjechać pod własnym nazwiskiem, otwarcie i jawnie, uwożąc z sobą te smutne resztki ruchomego mienia, mowy być nie mogło. Od dawna już władze bolszewickie poszukiwały państwa Charłęskich za „niesprzyjanie nowemu ustrojowi i potajemną ucieczką ze wsi Niżpol” i tylko życzliwej obojętności chłopów udających, że nie znają miejsca ich pobytu, i wierności służby należało przypisać, że pozostawiono ich w spokoju na leśniczówce.

Papiery opiewające, że Franciszek Koziol z żoną, siostrą i dziećmi, włościanin ze wsi Chmielnik powiatu Hrubieszowskiego, dostaje pozwolenie na powrót do Polski — wyrobił państwu Charłęskim syn Łukasza, kształcony przez nich w Kijowie przez lat wiele.

Młodzian ten, przejęty do głębi duszy hasłami nowego rządu, odgrywał właśnie w Żytomierzu w komisariacie bolszewickim wybitną rolę.

Wręczając owe papiery, „towaryszcz” wygłosił piękną mowę w duchu rewolucyjnym, mającą na celu przekonanie pana Charłęskiego, że wszystko właśnie dzieje się jak najlepiej. Na co poradzono mu niedwuznacznie, by szedł sobie do diabła, razem ze swoją frazeologią.

Największe niebezpieczeństwo stanowiło to, że różne tajemne toboły wozów kryły w sobie sprzęt różnorodny, a bardzo rewelacyjny. Jako to: papiery rodzinne, mapy majątków, gobeliny, obrazy, srebro i dywany. Wprawdzie można się było wyklamać ograbieniem jakiegoś dworu — ale lepiej przecież było uniknąć wszelkich indagacji i nie dać odebrać sobie z takim trudem ocalonych resztek mienia.

Jechano tedy stronami odludnymi, drogą, którą wskazywał opłacony przewodnik, nieraz już przemycający tędy na Polską stronę niechętnych spotkaniom z przedstawicielami władzy.

Wozy zresztą miały wygląd oplakany i nędzny. Obłocone aż po drelichowe, łatane budy — uprząż sznurkami powiązana. Najdroższe, przyjacielskie konie, od tygodni nieczyszczone, wychudłe i osmutniałe, ciągnęły te wehikuły bez fantazji i zapału, od dawna już zapomniawszy o swym szlachebnym pochodzeniu.

Gromada zaniedbanych, otulonych w kożuchy i chusty osób jadących w owych wozach wyglądała raczej na obóz cygański czy bandycką szajkę niż na uczciwe towarzystwo.

Ostatni popas, po czterech tygodniach jazdy, wypadł w lesie głębokim, którym już aż do samej granicy jechać miano.

Żydek przewodnik, który przez całą drogę zachowywał się nerwowo i chorobliwie, tutaj uspokoił się znacznie.

— Ny! tutaj to ja już w domu — zapewniał z głębokim zadowoleniem. — Tutaj to jeszcze dwadzieścia wiorsty i już polska strona. Tam już jest wojsko i urząd. Tam już człowiek nie potrzebuje sze bacz. On może sobie siędnąć i czaj³² pić, i nie myśleć o żadne niebezpieczeństwo!

— Tak, ale jak się to uda przejechać tę granicę?

— O to niech już wielmożne panie głowa nie boli! Od tego jest Żydek, Aron, on przyprowadzi w takie miejsce, gdzie nie ma ani patrol, ani straż. Gdzie jest sam Pan Bóg i las — i śmiał się ogromnie zadowolony, już pewny rychłego wypoczynku i wysokiej zapłaty.

Pomiędzy wozami rozłożono ognisko i panna Maria z Martą zabrały się do przygotowania ostatniego w tej drodze obiadu. Miały już w tym kierunku ogromną wprawę i wiedziały, jak przyrządzić jaglaną kaszę tak, aby nie była wręcz paskudna, i jak odświeżyć chleb zeschnięty niejednokrotnie na kamień.

Całe jedzenie w ciągu tej długiej drogi ograniczało się do kasz na wodzie, kawy czarnej z odrobiną cukru i chleba z trudem i za ogromną cenę zdobywanego przez Arona u jakichś tajemniczych, a nigdy przez podróżników gołym okiem niedojrzanych kmiotków. Jedyną osłodę tego żałośliwego jadła stanowiły suszone śliwki, których woreczek udało się pannie Marii ukryć przed okiem ojca na dnie wozu.

Podczas gdy panna Maria z Martą narządzały „jadła i napoje”, reszta towarzystwa myślała się. Na pozór czynność ta wydaje się naturalna i zgoła prosta — spróbujcie jednak myć się pod gołym niebem, przy kilku stopniach mrozu, w zamrażniętej prawie wodzie, a powiecie mi, jak to smakuje.

Chodziło o to, aby się nie przeziębici (pod żadnym pozorem — to było najsurowiej wzbronione), a jednak oczyścić cokolwiek z brudu i to nie tylko twarz i ręce.

Toteż na ten temat krążyły już liczne poematy, z których nie najgorszy zaczynał się słowami:

Kiedy Anię myją wodą
nosek jej się styka z brodą.

— Za dziesięć godzin, może jutro rano położysz się, Aniu, do łóżka prawdziwego. Z pościelą i poduszką; i umyjesz się w ciepłej wodzie — powiedziała matka ze łzami w oczach, wycierając wychudłe ciało grubym ręcznikiem aż do czerwoności.

A Ania gryzła wargi i wysoko podnosiła głowę, aby się nie stoczyła po policzku zdradziecka łza.

Ale nie było już nawet czasu się roztkliwiać, bo Marta, stojąc na drabinie wozu, śpiewała donośnie:

³²czaj (z ros.) — herbata. [przypis edytorski]

Panna Maria nas zaprasza,
bo stygnie jagłana kasza,
Ale niech się nikt nie pyta
czy ta kasza znakomita?
Bo ta kasza, ach ta kasza!
nawet Huka już odstrasza.

Tak każda potrawa miała już swoją pieśń i śpiewając ją, Marta zwoływała wszystkich do ogniska.

Zaczem zgromadzono się wokół — *razem* — po *raz* już ostatni. Z tego bowiem miejsca rozjechać się miano w przeciwne strony. Państwo Charłęscy z dziećmi, panną Marią i Aronem ku granicy polskiej, a Gabro i Wincenty z powrotem do Niżpola. Do swych domów i rodzin, których opuszczać nie chcieli i nie mieli potrzeby.

— Dziś jest na obiad rzecz przedziwnie smaczna i zupełnie nowa — powiedział Nik, siadając na przewróconym wiaderku. — Mianowicie manna niebieska, którą otrzymaliśmy dziś rano poleconą przesyłką prosto ze stacji pocztowej „Raj utracony”. Niech was nie zniechęca jej wygląd, tak niebywale do kaszy jagłanej podobny! — zakończył z przekonaniem, sięgając po swoją porcję żółtej potrawy.

— Ny, ja co powiem panu Gabrowi, co ten panicz Nik, to un jest prosto złoto — zwierzył się Aron, nagle rozczulony. — Un jest brylant, jemu nikt nie da rady, ani bida, ani mróz, ani głód, un będzie zawsze wesół, un... — nagle umilkł, a oczy wyszły mu na wierzch.

W odległości kilkunastu kroków pomiędzy drzew wyłoniły się nagle cztery brodate postacie w szarych, obdartych szynelach, z karabinami przerzuconymi przez plecy.

Siedzący przy ognisku nie widzieli ich jeszcze, widział ich tylko on, Aron, Żydek zsiniał z przerażenia.

I zobaczył ich także Olek, który wstał, aby wyjąć z wozu śliwki, a zobaczywszy, struchlał. Opanował się jednak błyskawicznie i nachyliwszy w środek koła siedzących, powiedział cicho, możliwie najspokojniej:

— Idzie tu kilku... ludzi. Trzeba zachować spokój. Czy papo ma rewolwer w kieszeni? Niku, czy ty masz?

— Mam — odpowiedzieli jednocześnie ojciec i Nik.

Nikt się nie poruszył przy ognisku. Matka tylko instynktownie wzięła za rękę Anię, która siedziała cichutko, nagle pobladła, z oczyma nienaturalnie otwartymi, jak mały struchlały ptaszek na widok błyszczących oczu kota.

Krokiem ciężkim i powolnym zbliżali się bolszewicy, z wolna zdejmując karabiny z ramion.

Oczy ich biegały po wozach i ludziach, szperały między tobołami, włożyły do kieszeni i mózgów, przebierały kolejno ludzi i zwierzęta. Huk, srebrnoszary dog Nika, podniósł się na przednich łapach i cicho zaczął warczeć.

Jak cięcia szabli padały spojrzenia, jak kule — wrogie błyski oczu.

— Wy zaciem zdieś³³? — zapytał wreszcie jeden z przybyłych.

— A jedziemy do Polski, do domu — odpowiedział obojętnie ojciec, pojadając kaszy z garnka.

— A pozwolenie u was jest? — padło pytanie.

— Pewnie, że jest — rzekł ojciec i nie spiesząc się, sięgnął do kurtki.

Długo przeglądał dowódca oddziału wręczone sobie papiery. Sylabizował je litera po literze, oczami wodząc po siedzących wokół ogniska. Wreszcie złożył arkusz i powiedział przewlekłe.

— Tu jest napisano: Franciszek Koziol z żoną, siostrą i pięciorgiem dzieci, a tu jest jeszcze dwóch ludzi i Żyd. To oni co za jedni i jakim prawem?

— Oni nie jadą do Polski, tylko odwożą nas do granicy i wrócą.

— Tak oni wrócą z nami — powiedział twardo.

— A dobrze — zgodził się pozornie ojciec. — No, jedzcie dzieci kaszę, bo będzie zimna.

³³Wy zaciem zdieś (ros.) — co wy tu robicie. [przypis edytorski]

Bolszewik podszedł do ogniska i wyciągnął ponad nim ręce. Stali wszyscy czterej, jakby nie wiedząc, co robić i łakome oczy wpili w dymiący garnek kaszy z wyrazem tak okrutnego głodu na zmęczonych, dzikich twarzach, że Marta poczuła nagle, iż jej się serce ściska.

— Mamo — powiedziała zdławionym głosem i oczami wskazała ich matce.

Pani Charłęska zawahała się jedną sekundę — zaraz jednak powiedziała szorstko:

— Jak chcecie jeść, to macie, zimno na dworze.

Przywódca spojrział na nią nienawistnie, ale już zza jego pleców wysunęła się szeroka twarz jednego z żołnierzy, który rzekł dobrodusznie:

— Jak jeść, to jeść — i wzięwszy garnek w zgrabiałe, czarne ręce, zasiadł z nim na ziemi.

Jedli wszyscy czterej z jednego garnka, łakomie, jeden przez drugiego.

Gdy skończyli, zażądali jeszcze. Matka wyjęła woreczek z kaszą i powiedziała.

— To wszystko, co mamy do jedzenia. Jak zabierzecie, to dzieci będą głodne.

— Na rano będziecie w Polsce to i nażreć się do syta — powiedział z grubym śmiechem jeden z żołnierzy.

— Durak! — wrzasnął mu nad głowę ten, który zdawał się przewodzić. — To ty myślisz, że w Polsce jest co żreć! Zdychają tam z głodu gorzej od nas.

— To jest nieprawda — powiedział dobitnie Nik, ale natychmiast umilkł, powstrzymany spojrzeniem ojca.

Tymczasem jeden z żołnierzy już nabrał do garnka wody, zasypał kaszą i na ogniu postawił, wszyscy czterej zasiedli koło ogniska, odsuwając dzieci. Pod wpływem ciepła i jadła, przywódca bolszewicki złagodniał, a nawet całkiem zmiękł.

— Ot i jedzicie sobie do „otczyzny” — mówił — pewnie, pewnie! Każdemu miły własny kraj. — Na chwilę widocznie przypomniał sobie zasady komunizmu, bo poprawił się niepewnie. — Kraj rodzony to wszędzie jeden, czy rodzony czy nie — ale już potem znów się roztkliwił, z tą niepojętą łatwością, z jaką Rosjanie przechodzą od nienawiści, graniczącej z mordem, do miłości najszczytniejszej, a całkowicie biernej.

I mówił już dalej, mówił bez przerwy, pięknie i potocznie, łzawo, a przekonywająco.

Przez ten czas matka z panną Marią i Martą nieznacznie pakowały wyjęte na popas rzeczy i przygotowywały się do drogi.

Do Ani, siedzącej na uboczu, podszedł jeden z żołnierzy i patrzył z góry na jej jasną, kędzierzawą główkę i bladą twarzyczkę. Tom niby od niechcienia podszedł do siostry i stanął tuż za nią.

— A tobie jak na imię? — zapytał żołnierz.

— Ania — odpowiedziała zmęczonym głosem.

— A tobie już będzie osiem lat? — zagadnął znowu.

— Dziewięć i sześć miesięcy.

— A ty czego za nią stanął? Myślał, że ją ją zjem, co? — zapytał ze śmiechem Toma.

— Nic nie można przewidzieć — powiedział ponuro chłopiec.

— Ot, gieroj³⁴! — zaśmiał się żołnierz tak serdecznie, że aż mu karabin zadzwonił na plecach.

— Małości to dzieci nazabijali? — powiedział rozszłoszczony Tom przez zęby.

Żołnierz nagle spowaźniał.

— Pewnie, pewnie — rzekł chmurno.

Zamyślił się na chwilę, potem zapytał znowu.

— A długo już tak jedzicie?

— Och, długo! — wyrwało się Ani westchnienie z dna serca.

— To ty pewnie sowsiem³⁵ już ustała! — rzekł miękko.

Ania podniosła na niego czarne, uważne oczy.

— Ja nie zawsze stoję, zwykle jadę na wozie — odrzekła niepewnie.

— Ustała to znaczy zmęczona — objaśnił Tom.

— Ach tak! — rzekła grzecznie Ania.

³⁴gieroj (ros.) — bohater; tu: zuch. [przypis edytorski]

³⁵sowsiem (ros.) — zupełnie, całkiem. [przypis edytorski]

Tymczasem żołnierz patrzył z niepokojem na siedzących wokół ognia towarzyszy i jakby się nad czymś namyślał.

Nagle rzekł do Toma:

— Ty idź do swego batki³⁶ i powiedz mu po cichu, żeby się miał na baczności. Rozumiesz? Żeby uważał. I że jak macie jechać, to jedźcie już do czorta, bo tu mogą jeszcze nadejść inni i nie wiadomo, co będzie.

Tom chwilę patrzył mu w oczy. Zrozumiał, że rada jest szczerą. Ruszył więc krokiem niedbałym, zatrzymując się tu i ówdzie, aż doszedłszy do ojca, powtórzył mu nieznacznie polecenie.

Po czym wrócił do Ani.

Obserwował teraz ojca. Widział, jak włożył rękę do kieszeni i chwilę ostrożnie nią tam poruszał, potem podchodził kolejno do Gabra, Wincentego i Arona, do synów i żony. Wszystkim coś z cicha mówił. I wszyscy na skutek tych tajemnych słów, powoli i nieznacznie zbierali się do drogi.

W końcu Gabro zaczął zaprzęgać konie.

Żołnierze spoglądali na to obojętnie niby, Tom jednak chwycił czasem ich spojrzenia ukośne i chciwe, z lekka drwiące.

Gdy już wozy przygotowano do drogi i matka z panną Marią i dziećmi zaczęła wsiadać, ojciec rzekł do żołnierzy:

— No, a teraz to już nam czas w drogę.

— Jak czas to czas — powiedział dowódca bolszewickiego oddziału, dźwigając się z miejsca. — Tylko że pojedziecie nie tędy, a zwykłą drogą, szosą i nas podwieziecie.

— Nie możemy podwieźć, bo aż nadto ciężko koniom — rzekł ojciec.

— Otóż to, nadto ciężko — zaśmiał się żołnierz. — Jakoś bardzo ciężkie te wasze wozy, Franciszek Koziół.

— A bo i pewnie — rzekł ojciec — mało to lat musieliśmy siedzieć w Rosji, to i nazbierało się gratów.

— No, jak w Rosji się nazbierało, to i w Rosji zostaną — powiedział żołnierz twardo, a i wy najpierw pojedziecie do czerezwyczajki³⁷. Niech no się tam rozpatrzą w waszych papierach, bo ja to i nie bardzo wiem, dobre one, ili³⁸ nie.

— Nigdzie nie pojedziemy, jak tylko do granicy Polski — powiedział stanowczo ojciec. — A wy nas nie zaczepiajcie, bo będzie bieda.

— Będzie, ale wam — krzyknął żołnierz i sięgnął do karabina.

Nie zdołał go jednak uchwycić. — Gabro błyskawicznym ruchem dopadł go z tyłu i wydarł broń. W tej samej chwili ojciec, Wincenty, Olek i Nik rozbierali pozostałych towarzyszy, trzymając ich pod lufami rewolwerów.

Wszystko to stało się błyskawicznie, cicho i sprawnie! Nie padł ani jeden strzał.

Żołnierze nawet nie próbowali się bronić, sterroryzowani tą niespodziewaną ilością groźnych, śmiercionośnych narzędzi.

Po prostu ogłupieli. Wszystkiego się spodziewali, tylko nie zbrojnego oporu, tylko nie protestu w tym kraju, gdzie wszystko gięło się pod ich władzą, drżało przed ich słowem i pięścią.

Stali teraz, rozbrojeni zupełnie, otoczeni lufami nabitych, wycelowanych rewolwerów.

— Kłaść się twarzą do ziemi — rozkazał ojciec. Zawahali się. — Natychmiast, bo strzelamy — przynaglił.

Położyli się. Wówczas skrupowano im ręce i nogi, usta zatkało szmatami, siedzących przywiązano do drzew.

— A teraz na wozy i co tchu — rozkazał ojciec.

Pędzono, ile mocy w biednych, wyczerpanych koniach.

— Tylko dwadzieścia wiorsty do granicy, tylko dwadzieścia — zachęcająco przynaglił Aron i wraz z resztą mężczyzn coraz to zeskakiwał z wozu, i biegł za nim, by koniom ulżyć ciężaru.

Byle prędzej, byle prędzej.

³⁶batka (ros.) — ojciec. [przypis edytorski]

³⁷czerezwyczajka (z ros.) — policja polityczna w Związku Radzieckim. [przypis edytorski]

³⁸ili (ros.) — czy. [przypis edytorski]

— Papo, a temu żołnierzowi co nas ostrzegł, tośmy nawet nie podziękowali — powiedział Tom, gdy ujechano już kawał drogi i minęło pierwsze wrażenie.

— Gdybyśmy podziękowali, to za kilka godzin, gdy znajdą ich inni i oswobodzą, rozstrzelaliby go towarzysze bez litości.

— Po co ich wielmożny pan nie pozabijał aj waj, po co? — zajęczał nagle Aron, dźwigając się z lepkiego błota.

Pan Charłęski popatrzał na niego i uśmiechnął się z politowaniem.

*

Świtało.

Wznosił się blade i zimny, czysty świt marcowy. Silny przymrozek trzymał ziemię, że skrzypiała twardo pod kołami wozów.

Pola, ogromne i faliste, pola ziemi czarnej i bujnych ozimin, szarobrunatnych ugorów — stały się jak okiem sięgnąć. A nad nimi niebo czyste, blade i nieruchome.

Z daleka, z tej drogi polnej, po której wlokły się wozy tułacze, widać było szosę równą i białą, wzniesioną nad poziom pól i ujętą w dwie wstęgi zielonych rowów.

Całą drogę tłukły się wozy po wertepach, moczarach i dołach, po drogach jakichś krętych, wąskich, nieużytych. Całą noc, noga za nogą wleczono się po krainach leśnych, aż przed świtem wytoczyły się umęczone wozy między pola ogromne i gładkie.

Już i sam Aron nie wiedział, co to za strony i czy bezpieczne od wrogiej władzy. Jęczał z cicha i raz wraz, to na tę, to na ową stronę poglądał. Ale daremnie. Nic, nic nie widział.

Właściwie już nikt nie miał sił tym się troskać i niepokoić. Wszyscy spali, skuleni bezradnie w głębi wozów, zmieniając się tylko przy koniach. Jechano noga za nogą, przystając i ciągnąc dalej, przed siebie, byle gdzie.

Słońce wytoczyło się zza widnokregu czerwone i zrobiło się na chwilę niby ciemniej. Szron na ziemi roziskrzył się jarząco.

I tam właśnie, po szosie białej, wyłoceni promieniami wstającego słońca — jechali żołnierze. Szwadron. Jechali stępa, a parskanie koni dolatywało aż do drogi, po której ciągnęły wozy.

Olek, który powoził w owej chwili na pierwszym wozie — zatrzymał konie.

Zza pleców jego Nik wysunął rozczochraną głowę i obaj chłopcy patrzyli z napięciem i trwogą.

— Nic nie widać... nie wiadomo — rzekł zdławionym głosem Nik.

— Aha... nie widać... Bo ja wiem! — wyjąkał Olek.

Szwadron już minął zakryte krzakami wozy i odjeżdżał drogą.

I nagle... i nagle...

— Wojenko, wojenko

Cóżeś to za pani,

Że za tobą giną, że za tobą giną

Chłopcy malowani,

Że za tobą giną...

Szwadron odjechał w skok, a na wozach wszyscy płakali.

Zatrzymano się na pierwszy popas na polskiej ziemi. Wskakiwano z wozów, otrząsając z siebie znużenie śmiertelne i głuchy smutek, nędzę miesięcy tyłu. Żwawo chłopcy skoczyli po drzewo do ogniska, tnąc krzaki znad rowu. Śmiejąc się, aż krzycząc z radości, Marta i Ania wyciągały z worków resztki jadła.

Nik i Tom ruszyli na poszukiwanie wody. Zdawało im się, że po drugiej stronie szosy widzą coś w rodzaju strumienia.

Rzeczywiście był to strumień. Nabrali pełne wiadra i przysiedli na moment u rzeczki.

— Ona jest zupełnie taka sama, ta ziemia — powiedział nagle Tom, biorąc do ręki wilgotną, czarną grudę.

— Ja kto jest taka sama! — oburzył się Nik — przecież jest polska!

— Tak — zgodził się spokojnie Tom — a mimo to jest taka sama. Czarna i pachnąca. I wrócili do ogniska, gdzie zgromadzili się wszyscy, grzejąc się i prostując obolałe, do cna zmiotęzone członki.

Z dała od wszystkich, na wale szosy, z nogami spuszczone do rowu Nik spostrzegł siedzącego Olka.

Coś go zastanowiło w bezwładnej postaci tak szczęśliwego przed chwilą brata.

Podszedł do niego i wówczas zobaczył, że Olek z głową wzniesioną i szeroko otwartymi oczami — płakał.

Ogromne lzy jak grochy staczały mu się po policzkach, a z głębi piersi, gdzieś aż w wnętrzości wyrwał się szloch, którego nie chciały przepuścić zacięte wrogo usta.

Nik stanął tuż przy bracie, ale nic nie powiedział. Podniósł głowę i także popatrzał na wschód zalany słońcem, tonący w srebrnej mgiełce.

Olek przestał płakać, chwilę zmagął się ze sobą, aż powiedział zachrypniętym, rwącym się głosem:

— Już po Niżpolu... popiołu nie zostało... i ziemię kto będzie orał?... I oni wszyscy jej nienawidzą, choć rozszarpali. A my... nie mamy już domu.

Nik westchnął głęboko z dna serca. A potem raz jeszcze zaczerpnął powietrza pełną piersią. Ożywczy, ostry zapach, wiosennych pól.

Wtenczas rzekł spokojnie i mocno:

Mamy teraz OJCZYZNĘ. To jest więcej, niż dom.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zurakowska-pozegnanie-domu>

Tekst opracowany na podstawie: Zofia Żurakowska, *Pozegnanie domu*: powieść dla młodzieży, Druk. Reprint, Warszawa 1991.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Kierepkę. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Patrycja Józwiak, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-1067-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).